24. marca 1866. Nr. 12. Rok I.

Wychodzi we Lwowie co sobotę, arkusz lub półtora.
Prenumerata w miejscu: 6 zł. 50 ct. rocznie — 3 zł. 25 ct. półrocznie — 1 zł. 65 ct. kwartalnie — 55 ct. miesięcznie.
Numer pojedyńczy kosztuje 15 ct.

# TYGODNIK NAUKOWY I LITERACKI.

Zamiejscowa w Austrji: 7 zł. rocznie — 3 zł. 50 ct. półrocznie — 1 zł. 80 ct. kwartalnie — 60 ct. miesięcznie.
Redakcja i administracja pod l. 168 m. przy ulicy Dominikańskiej.
Expedycja i miejscowa prenumerata w księgarni J. Milikowskiego.

## O tworzeniu się ziemi.

Odczyt miany na korzyść uczniów Akademji technicznej we Lwowie podany według własnoręcznego opracowania przez

**prof. Płachetkę.**

(Ciąg dalszy.)

Chaotyczne zmięszanie wszystkich pierwiastków, rozdzielonych dotąd jednostajnie na całej przestrzeni obłoczkowego kłębu, zaczęło od czasu skraplania się połączeń chemicznych ulegać siłom skupiającym różnorodne twory według pewnego następstwa w jedną uporządkowaną całość. Ciała cięższe odłączyły się bowiem od lżejszych; pierwsze ustępując w głąb kuli, dozwoliły mianowicie ziemiom i alkaljom, jako połączeniom lżejszym, wypłynąć na jej powierzchnię. Lecz ponieważ ogromnego czasu wymagało uwarstwowanie się tak olbrzymich mas na zasadach ciążenia gatunkowego, przeto nie może nas zdziwić, jeżeli drobne ułamki tworów cięższych zawisły w otoczeniu połączeń lżejszych i stężały wraz z temi pierwej, niżeli przebicie się ich w odpowiednie głębiny nastąpić mogło.

Teraz zastanówmy się bliżej nad własnościami tej opony gazowej, która roztlone jądra otaczając, wszystkie pod wpływem ówczesnego gorąca ulotnione ciała w sobie zawierać musiała. Niewątpliwą jest najpierw rzeczą, iż ogrzanie jej sięgało jeszcze do nader wysokich stopni, przeczo też objętością swą przewyższała znacznie rozmiary naszej dzisiejszej atmosfery; lecz godniejszą uwzględnienia staje się ogromna obfitość w najrozmaitszych składników, którymi była wyposażona i do których szczególniej policzyć możemy wodę, ocet, rozliczne kwasy i znakomity szereg innych jeszcze wytworów lotnych, zgęszczonych dostatecznie, aby »głębokiej ciemności pogrążyć dzieło wielkiego stworzenia.«

Ależ nieustanne promieniowanie ciepła na zewnątrz wpływało stanowczo na dalsze przeobrażanie się powłoki gazowej. Cząstki ochłodzone, przeto gatunkowo cięższe, spadały ciągle na powierzchnię rozpalonej ziemi, a zetknąwszy się z nią przyswoiły sobie znowu tyle gorąca, by powtórnie lotnością pary powrócić mogły w sfery wyższe, gdzie oddając właśnie otrzymany zasób cieplika, spieszą napowrót do globu roztlonego, w celu uprowadzenia mu nowej ilości gorąca, której nigdy więcej odzyskać nie zdoła. W ten sposób oziębia się także powierzchnia kuli samej, a to z tym skutkiem, iż jako pierwsze utwory krzepnących mas występują na niej częścią warstwowe, częścią zaś bezkształtne skały, mianowicie łupki ilaste i mikowe, gnajzy i granity.

Stężała błona ściąga się teraz pod wpływem nieprzerwanego chłodnienia, wywiera przeto ciśnienie na stopione wnętrze swoje, a więc pęka na różnych miejscach — i otworami rozgałęzionych szczelin piętrzą się fale ognistych płynów, które stygnąc powoli, wysterczają długiemi pasmami gór pierwotnych nad jednostajnie zaokrągloną powierzchnią globu ziemskiego.

Nie będzie może od rzeczy zastanowić się teraz nieco nad kształtem i sposobem złożenia tych mineralnych tworów, jakie w pierwszych okresach tężenia zewnętrznej skorupy przeważnie wystąpiły i następnie główny materjał do wydźwignięcia skał pierwotnych przysporzyły. Otóż fizyka poucza nas, iż najdrobniejsze pyły każdego ciała, przechodzącego z płynu w złożenie stałe, podlegają pewnej wewnątrz utajonej sile, która łączy je w postacie regularne, gładkiemi płaszczyznami i prostemi krawędziami określone, czyli jednem słowem, tworzy kryształy; lecz tylko pod tym warunkiem, jeżeli ciecz mająca wydzielić z siebie bryłki krystaliczne, w zupełnym spokoju i nader powoli tężeje. Czynność krystalizacji grupuje bowiem cząstki atomiczne według niezmiennych prawideł obok siebie, i może być przeszkodzoną w razie roztopienia albo zbyt szybkiem ochłodzeniem płynu, gdyż wtedy ruchliwość cząstek do utworzenia się kryształu niezbędnie konieczna, przedwcześnie ustaje, albo niepokojeniem równowagi jego, ponieważ wtedy niedziałki z wytkniętej im drogi do regularnego ułożenia się zbaczać muszą. Jeżeli nadmienione przeszkody tylko częściowo są dane, wówczas powstają kształty zdradzające mniej lub więcej dążność krystaliczną. Oto zastosujmy właśnie skreślone doświadczenia do krzepnącej błony naszego planety, wtedy pojmiemy łatwo, iż formy zupełnych kryształów nie mogły się udoskonalić w najwierzchniejszych warstwach, gdzie oziębianie szybkim pospieszało krokiem, podczas gdy głębsze pokłady doznały okoliczności pod tym względem wielce im sprzyjających. I rzeczywiście, domysły takie stwierdza nam natura w całej zupełności, albowiem począwszy od łupków ilastych jako głazów wierzchnich, przez następne pokłady łupka mikowego, skały gnajzowe, aż do granitów, jakież dostrzegamy potęgowanie się doskonałości krystalicznej!

Tak więc powstaniem wzniesień granitowych, wystąpieniem gór pierwotnych kończy się drugi okres w odwiecznych dziejach naszego planety.

Tymczasem postąpiło chłodnienie gazowej osłony tak dalece, iż większa część lotnych zaporów, nie mogąc się dłużej utrzymać w stanie rozprężalnym, opadła skroplona na powierzchnię ziemi, a zbierając się tam w rozległych wklęsłościach między pasmami falistych wzgórz, utworzyła morza pierwotne, ogrzane zawsze jeszcze nad temperaturę wrzenia, gdyż ówczesne ciśnienie atmosfery dozwoliło zgęścić się parze już w obecności nierównie większego gorąca. Oddziaływanie tych kwasami przesyconych wód na skalny materjał ziemi musiało wszakże być dwojakie, to jest chemiczne i mechaniczne.

Odnośnie do pierwszego, uwzględnić przedewszystkiem należy, iż pośród wielkiej różnorodności ciał złożonych, szczególnie węglany ługowców, jako minerały lekkie a więc na zewnętrznej warstwie skorupy osadzone, uległy najpierw działaniu kwasów, przeczo powstały sole: siarkany, tudzież chlorany potasu i sodu, które będąc rozpuszczalne w wodzie, nasyciły sobą odmęt rozparzonego oceanu. Wraz z nimi nie uszły wspomnionej czynności kwaśnych wód morskich olbrzymie pokłady węglanów wapna i magnezji; utworzone przeto zostały sole ziemne, po większej części w wodzie nierozpuszczalne, a więc do uwarstwiania nowych ciał mineralnych, do osadzania najpierwszych tworów neptunicznych zupełnie uzdolnione.

Tak więc zbywały wody morskie powoli swoje kwaśne składniki, a przyswajały sobie natomiast te sole potażowe, sodowe i magnezjowe, które im udzieliły obecnie jeszcze właściwego smaku słono-gorzkiego. Wydzielony kwas węglowy ulatniał częścią w atmosferę, częścią zaś pochłonięty przez wodę, ułatwiał rozpuszczanie się ziemi wapiennej, która odtąd jako dwuwęglan w rozcieku utrzymana, oczekiwała czasów późniejszych, aby się z umniejszeniem ciśnienia atmosferycznego, tracąc uwię-

zioną w sobie nadwyżkę kwasu węglowego, jako stałe ciało powoli znowu osadzić.

Wiadomo nam wszakże iż za czasów, gdy woda z powierzchnią ziemi przyszła w zetknięcie, nie wszędzie znajdowały się węglany, gdyż na niektórych miejscach szparami wydźwignięte granity, dalej zaś, z powodu wypłukania połączeń alkalicznych, głębsze warstwy łupka iłowego i mikowego stawały się przystępne dla kwaśnych a przytem ogrzanych wód. Najważniejszym wynikiem rozniecонego tu chemizmu były wytwory iłowe, jak też pobudzenie głównych warunków mechanicznego działania fal oceanu, które później tak wielkie zniszczenia w układzie głazów podejmować zdołały.

Co się więc tyczy mechanicznego wpływu morza, to jest uprowadzania i następnego osadzania różnorodnych materjałów, to polegał takowy w owym czasie jak i po dziśdzień jedynie na zasadzie ruchu i ztąd wynikającego ciśnienia wody płynącej. Że objawy tego rodzaju istnieć musiały podczas okresu o którym mowa, dowodzą nam pokłady piaskowcowe, tudzież zlepieńce, tym wiekom odpowiednie. Zkąd atoli wzięły się powody do tak silnego zaniepokojenia bałwanów, któreby zrywać i unosić zdołały odłamy skalne, lub rozcierać takowe potrafiły w cieńszy żwir lub piasek? Wszak ani ruch powietrza, gdyż było za nadto parą przesycone, żeby wpływ ciepła słonecznego mógł zniszczyć równowagę jego w niższych sferach, ani płaskość gór pierwotnych, nie zdolna do wysączania potężniejszych strug wody płynącej, nie sprzyjały okolicznościom ku temu pożądanym; lecz jedynie oddziaływaniu księżyca na ruchliwość fal oceanu, sile która się obecnie nawet zdradza przypływem i odpływem morza, a główniej jeszcze rozruchom plutonicznym, pochodzącym z głębi roztlonego wnętrza kuli ziemskiej, przypisać musimy całkowity zakres współdziałania w tak wielkich i ważnych epokach dalekiej przeszłości. (D. c. n.)

---

# Tajemniczy druh.

## Obrazek z niedalekiej przeszłości.

(Ciąg dalszy.)

---

.... nie wszystko na tym świecie  
W tak się cudne barwy stroi,  
Jak je sobie młodość roi...  
*G. Zieliński.*

Wieś Topolnica leżała nad Wisłą. Widnokrąg z dwóch stron objęty lasami, od wschodu gubił się w sinej przestrzeni, od północy modrzał falami tej pięknej i wspaniałej naszej rzeki. Dworek p. Michała stał cokolwiek na wzgórku; w krąg go objęły zielone, smukłe topole i chroniły od zimnych zawieji i wichrów północnych. Więc dobrze było pochylonemu i mchem już porosłemu staruszkowi w tym zielonym wianku nadwiślańskich krasawic: topole szeptały mu coś ciągle z cicha, rankiem szumiały pacierze, wieczór wtórowały modlitwą dzwonowi w cerkwi, co brzmiał rozgłośnie na »Anioł Pański«, a gdy przyszła zima, to wyniosłe opiekunki przeciągłym szumem łagodziły skargi zziębłego i skostniałego wychowanka.

Dwór więc w Topolnicy nie różnił się wcale od poczciwych naszych szlacheckich dworków, tak licznie rozsianych po tej obszernej polskiej ziemi, co z zapadłemi w ziemię ściany, a z gościnnie otwartą bramą podobne do siebie wszystkie jak dzieci jednej matki, jak bracia rodzeni...

Patrząc na te dwory, mógłbyś już naprzód ucharakteryzować sobie tych, co je zamieszkują.

Do dworu państwa Michałów przyjeżdżał często Stanisław Skała, dwudziestokilkoletni sąsiad właścicieli Topolnicy, który powróciwszy przed dwoma laty ze stolicy, po ukończeniu uniwersyteckich studjów, objął po zmarłych rodzicach zostawione mu gospodarstwo. Był to chłopak prawy, szlachetny i z prawdziwem wykształceniem, więc łatwo mógł sobie zaskarbić serca zacnego pana Michała i jego żony, którzy kochali go w istocie jak syna, zwłaszcza że niegdyś z zmarłemi rodzicami młodego Skały wiązała ich stara, sąsiedzka zażyłość. Ale nietylko u zacnych staruszków w Topolnickim dworze znalazł Stanisław życzliwe serca, było tam jeszcze jedno młodziutkie serduszko, w którem on coraz to przestronniejsze zabierał miejsce. Właścicielką serduszka tego była Marja.

Oboje kochali raz pierwszy, kochali się tą świętą, szczytną, piękną miłością, której pamięć niezaciera się nigdy w dalszem życiu, i pochylonemu staruszkowi zaświeci nieraz w pamięci jak złotawe promyki zachodzącego słońca, ostatnie rzucającego spojrzenia na usypiającą ziemię...

Stanisław i Marja rośli od dziecka razem. Razem się bawili, razem biegali po ogrodzie w Topolnicy, razem u brzegu stawu nad wierzbami łowili na wędę rybki i w altance pod brzozami z dziecięcą naiwnością, choć nie bez pewnej uroczystości przysięgali sobie wzajemną przyjaźń. A gdy malutką Marynię pytano:

— Za kogo ty pójdzież za mąż, Maryniu?...

To dziewczę nie bez rumieńca już odpowiadało:

— Za Stasia!..

Minęły dziecięce lata, a gdy z piętnastym rokiem życia do młodziutkiej główki zawitały marzenia i rojenia wiośniane, Stanisław, który wyjechał na studja do stolicy, został ideałem młodzieńca w dziewiczem serduszku córki państwa Michałów. Na kilka miesięcy przed powstaniem powrócił do domu. Marja szyła białe czerwone i niebieskie krakuski, skubała szarpie, a siedząc nad igiełką, śpiewała:

Szarpie będę skubała, chorągiewkę uszyję,  
I wydam się za tego co Moskali pobije!

Stanisław przyjeżdżał często do Topolnicy, staruszkowie przyjmywali go najczulej, a Marja z prześlicznymi a wiele wróżącymi raczkami. Tymczasem w okolicy zbierał się oddział powstańczy, a Stanisław przygotowywał się do wyruszenia razem z nim. Tak stały rzeczy w naszem opowiadaniu, gdy na drugi dzień po owej smutnej scenie między Marją a Astrachanowem, nieszczęśliwy Moskal znikł gdzieś w nocy ze dworu, że i śladu po nim nie zostało. Dziwne robiono sobie domysły, lecz nadaremnie, bo nikt rzeczywistej przyczyny dojść nie mógł. Pan Michał dowiadywał się wszędzie, pytał, szukał, lecz zawsze napróżno. Tylko w sercu Marji dziwne jakieś, różnorodne rodziły się przeczucia i zasępiały białe jej czołko...

---

Głucho wył wicher grudniowy, z przeraźliwym jękiem uganiał po błoniach tworząc nieprzebyte zaspy śniegowe, trząsł krzewem w leśnej gęstwinie i uginał wierzchołki zielonych sosen, które pod siłą rozhukanego żywiołu jęczały i skrzypiały żałośnie...

Drożyną, zawaloną chrustami, leśnem zielskiem i zaspami śniegu przemykało się kilku jeźdźców. Okryci byli w ciemne brunatne burki, które płatami spadający śnieg bielił. Z tententem kopyt końskich mieszał się brzęk szabel; konie parskały, jeźdźcy to poświstem to ostrogą zachęcali do spiesznego kłusu, w milczeniu mijając wysokie sosny borowe i wały zielska i śniegu.

Leśny przesmyk gęsto zarosły krzewiną wyprowadzał na niewielką jednak wolną od drzew i zarośli dolinkę, pokrytą grubym śniegiem, i naznaczoną śladami zwierza, który tu znać bujał sobie swobodny, zdala od strzałów myśliwskich i psiej pogoni. Gdy nasi podróżni znaleźli się na tem miejscu, na kilka tysięcy kroków przed nimi w ciemnej gęszczy leśnej zamigały czerwone światełka dziwnie odbijając od czarnego tła sosnowego boru.

— Ot i ognie już widać!... Chwała Bogu!... ozwał się jeden z jeźdźców.

— To z okna chałupy pobereżnika... to nie nasze ognie! wtrącił drugi.

— Gdzietam!... ten czerwony blask z tamtej wysokiej sosny z gołym wierzchem, to inaczej mi coś wygląda... Tak z okna płomień nie bucha...

W tem z za ciemnej gęszczy laszczynowych krzaków wysunęła się jakaś postać w płaszcz otulona i zbliżyła się tuż do naszych podróżnych.

— Kto tam! Hasło!...

— Jezus! Marja!... — ozwał się jeden z nich i zażywszy dzielnie konia, za kilka chwil był już na miejscu obozowiska powstańców. Czerwony płomień uderzywszy z najbliższego ogniska oświecił zapruszoną śniegiem twarz — Stanisława...

W kilka dni potem, gdy Astrachanów znikł gdzieś z Topolnicy, z okolicznych lasów wyruszał świeżo zorganizowany oddział powstańczy. Był to dzień chmurny, posępny, gdy Stanisław przyjechał z pożegnaniem do Topolnicy.

Marja wyszła zapłakana i blada, lecz niezdradziła bolu słowem. Owszem — oczy jej gorzały pięknym jakimś świetlanym blaskiem, a chwilami rzucały skrami świętego uniesienia dziewicy — Polki.

Stanisław ujął jej rękę w obie dłonie i cisnąc ze drżeniem szepnął:

— Marjo... módl się za mną...

Słowa te wymówione z całym wyrazem kochającej, szlachetnej duszy jego obudziły przycichłe cokolwiek pod wpływem wznioślejszych uczuć dziewicze rojenia i mrzonki serduszka Marji. Jak trawa kosą podcięta opuściła główkę na piersi Stanisława. Z oczu spłynęły dwie jasne łzy i potoczyły się po bladem licu.

— Ja cię tak kocham mój Stasiu drogi!... szepnęła podnosząc główkę, a na twarzy jej rozlewał się powoli rumieniec. Ślicznie wyglądała w tej chwili ze łzami w oczach, z tem białem zasępionem czołkiem i krasnym rumieńcem na licu!...

Prócz słów tych kilku nic więcej nie mogła powiedzieć. Zanadto młode było to serduszko, by mogło przenieść ból, co je krwawił i szarpał tak nielitościwie...

Na to nadeszli staruszkowie. Stanisław ukląkł i przyjął błogosławieństwo z rąk państwa Michałów; staruszek zdjął z nad łóżka szkaplerz jakiś stary obszyty w skórkę i zawiesił mu na szyi, pani Michałowa także obdarowała go talizmanami, relikwiami i szkaplerzami.

Była to chwila piękna, na wpół łzawa pół wesoła, której wrażenia trudno opisać, trudno opowiedzieć. Czyż nie żegnaliście, nie opłakiwaliście poległych w świętym boju?... Czyż był choć jeden dworek, w którymby nie żegnała matka syna, nie opłakiwała dziewica poległego kochanka?

Na twarzy p. Michała malowała się otucha i jakieś wesołe uczucie nadziei i wiary w przyszłość. Zdawało się jakby mówił:

— Bóg pomaga dobrej sprawie!...

Staruszka płakała, Marja stała blada i smętna. W kącie izby stary sługa domowy szeptał luzakowi Stanisława na ucho, jak się ma w boju zachowywać, by »kochanego panicza« ustrzedz przed nieochybną śmiercią.

Nareszcie ozwał się staroświecki zegar z drugiej komnaty i Stanisław kazał przyprowadzić konie. Wszyscy wyszli pod ganek, a gdy Stanisław dosiadł tabunka i był już za kościołkiem w siole, zacni staruszkowie, Marja i poczciwa czeladka jeszcze poglądali w stronę, kędy pojechał...

Niebo zasuwało się groźnemi chmurami, a w powietrzu było parno, jak gdyby przed burzą...

---

Z różnorodnemi uczuciami w sercu, z żalem za ukochanym dworkiem w Topolnicy a z nadzieją w jaśniejszą przyszłość przyjechał Stanisław do obozu. To nowe dlań zupełnie życie, pełne swobody, wśród serdecznej drużyny, którą jedna łączyła myśl, jedno słowo zagrzewało do boju i pchało na wraże bagnety, wpłynęło na jego usposobienie nadzwyczaj korzystnie. Odżył w tej świętej, wielkiej idei, poruszającej tysiącami ginących i gnanych w białe Sybiru ziemie!...

Minęło kilka tygodni, Stanisław przebył pierwszy chrzest krwawy szczęśliwie, narażając się wszędzie na największe niebezpieczeństwa a w walce na najsilniejszy ogień. Był jednak ktoś, co skrycie czuwał nad Stanisławem w boju, na czatach i wszędzie, gdzie jakie tylko niebezpieczeństwo mogło mu zagrozić. Dziwnym i zagadkowym był dla Stanisława ów tajemniczy druh, który wśród bitwy w największym ogniu zjawiał się obok niego jak anioł opiekuńczy, dzielną dłonią i celnymi strzałami zasłaniając zagrożonego przed nieprzyjacielem..

Okryty szeroką brunatną burką, której kołnierz zakrywał mu do połowy twarz, z zaciśniętą na oczy czapką zjawił się jakby z pod ziemi i znikał potem niepostrzeżony przez nikogo...

Dziwne wieści chodziły w oddziale o owym zagadkowym towarzyszu Stanisława. Miała to być podług jednych kochanka jego po męsku przybrana, drudzy w jeszcze fantastyczniejsze szaty przystrajali nieznajomego ochotnika bojowego, tylko x. Kanty kapelan oddziału z dziwnie uroczystym wyrazem na twarzy mówił:

— Są tajemnice serca ludzkiego święte, wielkie, w które wdzierać się byłoby zbrodnią...

Tak stały rzeczy jakiś czas, gdy w kilka tygodni poźniej smutna katastrofa zbliżyła nareszcie Stanisława i nieznajomego jego druha do siebie. Oddział nasz różne przechodząc koleje wdzierał się powoli w głąb Kongresówki. Było to w kwietniu; błonia okrywały się zielonym kobiercem, w lesie kwitły pierwiosnki i wonieła konwalja, brzoza strojna w zielone sploty wiosennych warkoczy kłóciła się z wiatrem, co od północy zalatując zdawał się jeszcze grozić śniegiem i słotami...

Oddział nasz rozłożony u stóp lasu przygotowywał się do bitwy. Zdala słychać już było wrzaski i krzyki dzikiej tłuszczy żołdackiej, a na ciemniejące się tło nieba występywała powoli jaskrawa łuna pożogi, lub zaciemniała się kłębami siwego dymu, na pół zmieszanego z iskrami...

Obydwie kolumny zbliżały się powoli do siebie, gdy tymczasem rozsypani w tyraliery strzelcy razili się nawzajem gęstym ogniem...

Podobne droczenie się powolne niecierpliwiło naszych, zwłaszcza gdy strzały piechoty moskiewskiej zaczynały prażyć bezczynnie stojącą konnicę. Stanisław, który miał pod sobą lewe skrzydło, wyjechał przed front i po krótkiej naradzie z naczelnikiem zakomenderował:

— Na ochotnika!... za mną chłopcy!...

Sto jeźdźców jak mur ruszyło za nim, gdy tymczasem strzelcy ustawili się w półkole prażąc z obu stron nieprzyjaciela.

Obie kolumny starły się, i jakiś czas nic nie było słychać prócz chrzęstu szabel, tententu kopyt końskich i huku wystrzałów, który zagłuszał dziką i przerażającą tą muzykę...

Stanisław znajdował się w największym ogniu, kule z przeraźliwym poświstem przelatywały mu koło uszu. W koło waliły się o ziemię trupy, padały konie z roztrzaskanemi nogami, z urwaną piersią, rozlegały się jęki rannych i konających. Cały ten obraz oświecony łuną pożaru poblizkiego sioła dziko, jednak majestatycznie, wyglądał. Na domiar tego od północy zerwał się wichr i jęczał i wył w starych konarach pobliskich sosen, które uginając się ku ziemi skrzypiały przeraźliwie i trzeszczały w pniu, jak gdyby miały uledz pod olbrzymią siłą rozhukanego napastnika...

Bitwa trwała jeszcze ciągle i szala zwycięztwa przeważała na nieprzyjacielską stronę. Z ostatnim wysiłkiem męstwa rzucili się nasi na wroga, jeszcze raz zahuczały strzały, jeszcze raz ozwało się powstańcze Jezus! Marja! i Moskale zaczynali się cofać.

W jednem tylko miejscu wściekła wrzała rozprawa; zdawało się, że z walczących żaden nie ustąpi, że z obydwoch stron runą o ziemię po długiej, zaciętej walce mężne — trupy. Był tam Stanisław.

Już towarzysze jego zalegają ziemię, wróg coraz to węższem kołem otacza garstkę walczących, nad głowami błyszczą spisy, a omdlewającą rękę coraz to silniejsze uderzają pociski.

W takiej to chwili obok Stanisława zjawia się ów nieznajomy druh, silnemi cięciami szabli ścieli trupy w około, i szerzy postrach między rozwścieklonem żołdactwem.

*

Stanisław pokrzepiony na siłach natarł dzielniej na kilku i wkrótce ujrzał się zupełnie oswobodzonym.

Wtem od strony cofającego się żołnierstwa padło kilka strzałów. Stanisław usłyszał jakiś krótki urwany jęk obok siebie, a gdy dym się cokolwiek podniósł, ujrzał nie opodal we krwi leżącego swojego zbawcę.

— Stanisławie!... — wyjęknął moskiewskim akcentem ranny i podniósł z wysileniem rękę, która na powrót martwo upadła...

Stanisław spojrzał na niego, zatrząsł się i mimowolny, przygłuszony wykrzyk wydobył mu się z piersi. W jednej chwili przypadł ku leżącemu i przy pomocy jednego ze swoich żołnierzy uniósłszy z pola bitwy, pomknął z nim w głąb lasu...

Na zciemniałe niebiosa występywały powoli gwiazdy, a z za lasu wypłynął księżyc i ciekawie przyglądał się krwawej scenie pod jarem... (D. n.)

## Konwój na Sybir.

(Urywek.)

Smętny — łzami zalany —
A w strój czarny odziany,
U rogatki lud biedny się roi;
A tam w polne obszary
Legł tłum Dońców bez miary,
Sto kibitek w pośrodku nich stoi!

Co nie padło w walk błysku,
Stu szubienic uścisku,
Co nie kryje fortecy mogiła —
Wróg, spełniając czyn kata
Kajdanami oplata
I w pustynie Sybiru wysyła!

Na kibitkach rój wiary,
Taki postrach na cary,
Smętno patrzy na Wisłę — do miasta...
A w koł Dońców gromada
„W pochód!“ — na koń już siada
I spis tysiąc ku niebu wyrasta.

„Żegnaj Polsko — rodzino —
„Czy też kiedy przeminą
„Te dnie bolów i męczarń tak wielu?...
„Czy powrócim do chatek,
„W uścisk ojców, sióstr, matek —
„Czy odżyjem w powitań weselu?...“

A tłum łzami zalany
Chwyta więźniów kajdany,
Do ust ciśnie i żegna rodaków;
A czasem w nim tak jękło
Jakby serce gdzie pękło...
Że aż wzrusza wpółdzikich kozaków!

Jeden tylko z gromady
Na wpół żywy i blady
Sam w kibitce — bo nikt oń nie pytał!...
Rzucił łzawy wzrok w tłumy —
I znów pełen zadumy
W jasny błękit się niebios zaczytał!...

Kto pożegna — kto ściśnie —
I łzą żalu zabłyśnie,
Gdy sierota sam jeden na świecie?...
„Kto tam westchnie?... kto — za mnie?...
„Ej — wyszeptał — nie dla mnie
„Łezka żalu — to bujne serc kwiecie!“

A w tem z tłumu powodzi
Dziewczę jakieś wychodzi,
W cudnych licach tęsknoty znać piętno..
Mały krzyżyk w dłoń wzięła —
U kibitki klęknęła
I spogląda na więźnia twarz smętną!

„Pan sam jeden?... Nieznana —
„Lecz jak siostra, ja pana
„Żegnam w imię ojczyzny... rodziny...
„Weź ten krzyżyk dla siebie,
„Będzie wsparciem w potrzebie,
„On mi został po matce jedyny!...

„Weź!...“
I modli spojrzeniem...
Więzień przyjął ze drżeniem
Ten krzyżyk i zawiesza na szyję...
A w tem „naprzód“ krzyknięto,
Tłum kolbami popchnięto...
Darmo — chwila rozdziału już bije!..

Potem koła warknęły —
Dońce drogą pomknęły,
Sto kibitek w pośród nich... i dalej
W Sybir — w Sybir wygnańce
Tam — na świata het krańce
Pod katorgę i knuty Moskali!...

A tłum patrzał w ich ślady
Cichy — smętny i blady...
Tylko dłonie z rozpaczą zaciska...
A śród niego spłakane
Stało dziewczę nieznane..
. . . . . . . . . . . .

Mnichów. Marzec 1866. *Feliks Kozubowski.*

## Żywot i pisma Karola Balińskiego.

II.

(Ciąg dalszy.)

Zachodzi tu jeszcze tylko pytanie, kto urzeczywistni ową przepowiadaną przemianę najpierwszy i przykładem swoim porwie całą ludzkość za sobą? Ten, kto powyższe prawdy w wszystkich duszach ludzkich zarówno wpisane najlepiej i najpierwej uczuł, w życie wprowadzać zaczął, a nareszcie kto za nie najwięcej cierpiał; ponieważ jak prawdą jest maksyma: *sanguis martyrum semen christianorum* jak się ona stosuje zarówno do chrześcijaństwa jak do każdej innej wprowadzanej w życie idei, tak też jest niezbitym pewnikiem, że każda nowa myśl, prowadząca ludzkość naprzód, posuwająca ją o krok dalej ku jej ostatecznemu celowi, musi być okupioną krwią i łzami najpierwszych i najszlachetniejszych swych obrońców i popieraczy. I owszem bolesna ta danina, bywa tem większą, z tem cięższemi ofiarami połączoną im sama idea jest piękniejszą i większej doniosłości.

Nikt lepiej nie przeczuł i podług możności swej nie praktykował idei braterstwa narodów, jak Polska w XV i XVI wieku, podczas gdy nowe jaśniejsze tej zasady pojęcie również w Polsce się zrodziło; nareszcie za święte prawa narodów nikt bardziej nad Polskę nie cierpi, a więc też gdy ›Pan w całej sferze politycznej, kędy go dotąd nie było, przytomnym się stanie, narzędziem jego Opatrzności do tego nikt inny — jeno naród polski‹ będzie. Myśl tę już Janusz wypowiedział w proroctwie Kapłana polskiego:

„A krew się polska sakramentem stanie
Ludom ginącym z niewoli i głodu —
I wzniosą w górę do nieba wołanie:
Przez święte rany polskiego narodu
Wybaw nas Panie!“

Albo

i przyjdą ludy
Ogniwa kajdan rozbiorą.

albo

stanie się nasze więzienie
Miejscem odpustu ludzkości.

Dawniej, jeszcze wiele przedtem, wyrzeczona przez księdza Marka przebija się w pieśniach konfederatów Barskich, gdzie oni czują się wybranem narzędziem Boga:

Ale w grobowcach my jeszcze żołdacy
I hufiec boży.

albo

Bo kto zaufał Chrystusowi Panu
I szedł na święte kraju werbowanie,

gdzie już obowiązek względem narodu jako religijna przedstawia się powinność.

Myśl ta nareszcie została wypowiedzianą przez każdego niemal poetę, przez każdego nad rzeczami narodowemi zastanawiającego się filozofa, który tylko do obcej zanadto nie przywiązał się modły.

W końcu należy mi dodać, że od więcej niż pół wieku mędrcy zachodni zwracają z bojaźnią i nadzieją uwagę swą na pokolenia słowiańskie, dotąd spiące i dające lada komu deptać po sobie, a które teraz nagle przebudziły się, zapragnęły życia i olbrzymiemi doń dążą krokami. Dotychczas łudząc się, pozorem siły, wierzono w panslawizm pod auspicjami rządu petersburgskiego. Zdawało się bowiem, że młodziuchne narody słowiańskie lgną doń całem sercem. Ale wypadki 1863 r. otworzyły oczy, dowiodły jasno łaskawości i bezinteresowności opiekuńczych zamiarów i sprawiły wielką rewolucję w sercach i głowach naszych pobratymców.

Narody słowiańskie, o ile własna siła dodaje im otuchy i wiary w siebie, chcą samoistnego bytu, a Moskwy trzymają się jeszcze tylko te, co dotąd w skutek przeciwnych okoliczności nie mają nadziei utrzymania się o własnej mocy. Najlepiej okazuje się to u Czechów, u których tylko starzy rutyniści marzą jeszcze o białym carze północy, kiedy przeciwnie całe młode pokolenie, jak tego dowodzą liczne artykuły »Humoristickych Listów« »Lumira,« »Morawskie orlice« i t. d., zachowanie się młodzieży czeskiej w Wiedniu w stosunku do Polaków, oświadcza się wręcz przeciw Moskwie i jej panslawizmowi, a nawet, choć może mniej wyraźnie, z sympatjami dla Polski.

Tak więc Polski posłannictwem jest przodownictwo w przeprowadzeniu ludzkości w ową trzecią epokę, a której urzeczywistnienie przez moralne podniesienie jednostki (i na to szczególny nacisk kładziemy) dokonanem być ma. Jak przez podniesienie moralnej wartości jednostek plemiona giermańskie były pierwiastkiem ożywiającym świat stary, nadającym mu straconą siłę i rzeźwość potrzebną do przejęcia się zasadami ewangielji, tak jest to dziś powołaniem Słowian pod duchowym przewodem Polski.

Dla lepszego zrozumienia podajemy następujące zestawienie. W pierwszej epoce znajdujemy w duszy ludzkiej marzenie, a ideałem piękno, to też klasyczność stanęła pod względem formy na niedościgłym szczeblu. W drugiej epoce znajdujemy rozumowanie, oddzielenie ducha od ciała, przeciwstawienie obu pierwiastków, ideałem jest tu prawda, szukana raz drogą ślepej wiary pierwszych stuleci, potem filozoficznem rozumowaniem. W trzeciej nareszcie epoce znaleźć mamy już czyn, t. j. urzeczywistnienie wymarzonego ideału i wyrozumowanej prawdy, a ideałem jest tu moralne dobro. Zapowiedzią tego jest rodząca się pod koniec drugiej epoki poezja romantyczno-ludowa, będąca może po części już i wynikiem łączenia się prawdy i piękna.

Na końcu należy nam zwrócić uwagę na to, że powyższe ideje często mylnie Towianizmem nazywano i do dziśdnia nazywają. Nie przesądzając wcale ciekawej a dotychczas tak mało rozjaśnionej kwestji Towiańszczyzny, konstatujemy: *a)* że już przed wystąpieniem Andrzeja Towiańskiego, które miało miejsce w r. 1840, znajdujemy powyższe myśli w Wrońskim, Januszu i La Martynie; *b)* że ani Gołuchowski, ani Cieszkowski, ani autor »Fundamentów do budowy społecznej«, ani autor dzieła »Narodowość a Rewolucja« do Towiańczyków nigdy nie należeli; *c)* że Krasiński i Słowacki w samych zaraz początkach od Towianizmu się odstrychnęli, a mimo to w późniejszych dziełach swych za przedstawicieli powyższych idei uważani być muszą; *d)* że nareszcie Mickiewicz i Baliński jeszcze przed wejściem do Towiańczyzny też same ideje wyrażali. Ta okoliczność może nam posłużyć za klucz do zagadki, dla czego Towiański liczył wkrótce po swym wystąpieniu wszystkich najtęższych i najzdatniejszych ludzi pomiędzy swymi zwolennikami: bo pierwszy otwarcie wystąpił w imieniu idei, którą wszyscy czuli, choć sformułować i wypowiedzieć nie umieli. Na dowód przypominam zupełnie podobne zdanie o tej sprawie prof. Małeckiego w prelekcji o Królu Duchu i Wojciecha Cybulskiego w rozbiorze Dziadów. Dopiero zwrot Towiańskiego od czynu do biernego cierpienia, od pracy narodowej aż do uznania władzy moskiewskiej przyprawił go o stratę większej części zwolenników.

Tak zcharakteryzowawszy, o ile nam sił starczyło, myśl przewodniczącą całej falandze znakomitych pisarzy, przejdźmy do szczegółowego rozpatrzenia się w pismach Balińskiego. Przytem pozwalamy sobie wyrazić serdeczne życzenie połączone z głębokiem o pożyteczności tej pracy przekonaniem, aby ktoś mający więcej sił i czasu, przewertowawszy pisma wyżprzytoczonych myślicieli, a abstrahując zupełnie od ich estetycznej formy lub pisarskich zalet, zechciał zebrać ich nowe pomysły w jedną obszerną cały ruch umysłowy w tym kierunku przedstawiającą monografję.

## III.

.... O! błogosławiony,
Komu Pan zostać swem echem pozwoli,
Dzwonić na sennych, budzić czyn uspiony,
Na samolubów, na ludzi złej woli,
Rozbić w przestrzeni siłą kołatania
Chmurę przesądów, co słońce zasłania.

*W. Syrokomla.*

Teraz przystępując do pojedyńczych pism Balińskiego przejdziemy je w chronologicznym porządku, mniej zrozumiałe lub ważniejsze miejsca objaśniając wyjątkami z listów. Pierwej jednakże powiedzmy jeszcze słówko w ogóle o sposobie zapatrywania się. W drugiej części wyłożoną myśl wspólną wielu badaczom narodowym pojmował Karol bardziej z praktycznej niż teoretycznej strony, luźnych abstrakcyjnych rozprawiań nie dopatrzeć się u niego, a nawet jeżeli kiedy nie mógł ich pominąć (n. p. bądź ustnie bądź listownie zaczepiony), to brał się do tego z widoczną niechęcią, a i to tylko jeżeli widział, »że pytającym kieruje nie próżna żądza nagromadzenia marnej wiedzy, lecz pragnienie wyświecenia kwestji celem pełnienia jej życiem.« Z drugiej jednak strony trzeba mu przyznać w wysokim stopniu dar przekonywania, umiał najzawilszą rzecz wyłożyć jasno, zrozumiale, a przy nader prostem wysłowieniu, przyczem aby się stać bardziej przystępnym umyślnie, zwłaszcza w późniejszych pracach odrzucał wszelką okrasę stylu, a utrzymywał środek między suchością ciężko uczonej rozprawy a rozwlekłością powieściarskiej gadaniny.

To też jeżeli praktyka polega na zużywaniu wszelkich przedmiotów do osiągnięcia pewnego celu, to wypada nazwać Karola najpraktyczniejszym z ludzi. Wszystko istniało tylko, by mu służyć do ostatniego celu, którym był »Bóg i Ojczyzna«. Hasło to w następne możnaby rozłożyć ideje: pełnienie woli Bożej najwyższem wszędzie i zawsze zadaniem człowieka — wolą Bożą jest: *a)* kształcenie każdej pojedyńczej osobistości, doskonalenie pojedyńczego ducha; *b)* wprowadzenie tu na ziemi rozwojowi ducha jak najodpowiedniejszych stosunków — królestwa bożego na ziemi (jedno przez drugie jest tak zawarunkowane, że w wykonaniu nie można ich dzielić). — Królestwo Boże sprowadzone będzie przez pobratanie narodów, trzeba więc je podnieść i wykształcić, aby wyższego stopnia doskonałości doszły, trzeba podnieść pojedyńczych ludzi — azatem podnosząc, ulepszając jednostki wznosimy podwaliny przyszłej budowy społeczeństwa — a że *exempla trahunt*, powinniśmy więc rozpocząć pracę moralnego

podniesienia od pracy nad sobą samym i swym narodem. Wpływanie zaś to miało się odbywać przez miłość, nie gnuśną, kkliwą, ale pracowitą i czynną. Ztąd więc służba narodowa była mu obowiązkiem religijnym, ztąd też przy każdej sposobności woła on czynu! czynu! t. i. pracy nad sobą, drugimi i narodem.

Nie inaczej też pojmował on swą pracę literacką i tak pisze w liście do W. K. Wojcickiego:

„Śpiew — słowo serca — toć to urząd przecie,
Władza to święta, władza nad sercami
Nie do zabawy, jak panowie*) chcecie,
Lecz do poprawy świętemi wzorami;
Władza wiodąca, gdzie, tego nie wiecie,
Droga do prawdy słowem i czynami.

a w przedmowie do »Myśli serdecznych« tak się wyraża: »Mamy my Polacy wielką skarbnicę narodową — ogromną, głęboką; — jest to owa przepaść, którą grzechy ojców i nasze rozwarły między nami i ojczyzną. W tę przepaść, w tę skarbnicę narodową każdy z nas, każdy choćby najuboższy nie tylko powinien, ale musi koniecznie wrzucić coś z własnej duszy, czego się własną ciężką pracą całego życia dorobił — łzę, krew czy słowo serdeczne — jak niegdyś każdy choć garść ziemi, choć kamyczek, choć ziarnko piasku na pomnik Krakusowi lub Kościuszce.«

Takim to kamyczkiem, ziarnkiem, »choćby źdźbłem tylko« w narodowej skarbnicy chciał mieć swe pieśni. (C. d. n.)

# PIŚMIENNICTWO DLA LUDU.

I.

W obec rozbudzającego się życia literatury ludowej, która przeważną obecnie odgrywa rolę w pracy światła na niwie narodowej, jednem z nader ważnych zadań dziennikarstwa literackiego w kraju winno być zwrócenie szczególniejszej uwagi na ten dział piśmiennictwa, który na pozór małoznaczący, niewydatny, ale w gruncie rzeczy wielkiej wagi i większej zasługi, niżli stosy nieudałych ramot powieściarskich i wyskoków patrjotycznego natchnienia, któremi obdarzają nas drukarnie Lipska, Bruxelli, a nawet niestety i... nasze. Tą myślą powodowani zamierzyliśmy od czasu do czasu podawać czytelnikom naszym sprawozdania z ruchu literatury ludowej, nie zaniedbując, o ile to w mocy naszej będzie, wykazać złe i dobre strony, dotyczące tak osobnych tego rodzaju objawów, jak i ogólnego kierunku piśmiennictwa.

Gdy widzimy stosy modlitewników, kantyczek i jubileuszów, cudownych historyj kościelnych i niekościelnych bezładnie pomięszanych z powieściami dla ludu, opowiadaniami z historji, »Przyjacielami ludu«, zpopularyzowanemi naukami rolnicwa, pszczelnictwa i t. p., nareszcie ciągłe rozbijanie się dotyczące różnicy powieści dla ludu, a powieści i obrazków charakterystycznych i typowych z życia ludu, wydaje się nam przedewszystkiem niezbędnem ścisłe oznaczenie tego, co rozumiemy pod literaturą dla ludu. Gdy wyrazu lud w różnych używamy znaczeniach, przeto na swojem miejscu będzie tu powiedzieć, że w ostatniem znaczeniu mówimy tylko o klasie roboczej, tak miejskiej jak i wiejskiej, żyjącej z fizycznej pracy rąk a nie posiadającej nietylko wyższej nauki oprócz wykształcenia nabytego w szkołach elementarnych, ale nawet często i tego ostatniego.

Sądząc po ilości wydanych dziełek nieobznajomiony mógłby najkorzystniejsze o piśmiennictwie dla ludu wydać zdanie, gdy tymczasem wręcz przeciwnie się dotychczas dzieje.

Wprawdzie Kraków, Bochnia, Wadowice, Cieszyn, Chełmno rok w rok wydają stosy modlitewników, kantyczek, pieśni nabożnych i różańców, a nawet historyj o Rynaldynim i Życiu św. Genowefy, co wszystko rozchwytują na jarmarkach i odpustach; ale w takim rodzaju pisano już przed dwudziestu i trzydziestu laty, a czy podobne publikacje mogą choć w pewnej części przynieść jaki taki skutek? na to zdaje mi się nie potrzeba odpowiedzi. Przeglądając dziełka rzeczywiście pożyteczne dla ludu, musimy zgodzić się na zdanie, iż w ogóle przeważa tu bardziej strona moralna, gdy tymczasem strona praktyczna pozostaje w zupełnem prawie zaniedbaniu. Nie chcemy wcale przez to powiedzieć, żeby publikowanie powiastek obyczajowych, historycznych i wierszyków nie odnosiło żadnego skutku, owszem, ale pragnęlibyśmy przedewszystkiem podnieść nasz lud pod względem materjalnym, wydostać go z nędzy fizycznej, co uważamy za jeden z najważniejszych czynników do podniesienia go z nędzy moralnej. Owo *utile dulci* winno tu znaleźć jak najrychlejsze zastosowanie. Dzięki staraniom Łyskowskiego, Makowieckiego, Gawareckiego, Pisza, Gregorowicza, Goltza i kilku innych posiadamy już chociaż mały, ale zawsze staranny zbiór dziełek popularnych ziemiaństwu poświęconych, z których lud nasz rzeczywisty pożytek wyciągnąć może. Bardzo ważnym nabytkiem w tym szczupłym dotychczas zbiorniku jest »Biblioteka rzemieślnika polskiego«, zawierająca »Przewodniki dla stolarzy, ślusarzy, kowali, kuśnierzy, giserów i t. d. Wydawnictwo to odpowiada rzeczywiście warunkom dziełek ku podniesieniu rolnictwa i przemysłu pomiędzy naszym ludem. Ale to wszystko jeszcze bardzo mało! Niejedno z dziełek wyżej wymienionych już się może wyczerpuje, te znowu o nieprzystępnej dla każdego biedaka cenie, inne trudne do sprowadzenia albo znowu nie w każdej znajdujące się księgarni, a przy tem wszystkiem dziełek tych jakże mało! Chłopek nasz nie jest od rzucenia kilku groszy za pożyteczną lub zajmującą książkę, ale trzeba, by mu ona sama w rękę wpadła, by się o nią nie potrzebował rozbijać. Nie dziwimy się, gdy niejeden z szlachty oprócz »Haliczanina« i »Przyjaciela Domowego« mało co więcej prenumeruje, nie dziwimy się, gdy niejeden »syn obywatelski« na wsparcie ubogiego lecz pożytecznego pisma nie posiada kilku groszy — a publikując dziełka dla ludu nie przyjdzie nam na myśl, że stokroć biedniejszym jest chłopek. Gdy nadejdzie przednowek, zkąd go biedaka stać choćby na parę groszy, ofiarowanych za książeczkę?... Przeto przedewszystkiem nakłady winny być jak najskromniejsze pod względem powierzchowności, a w jak największej liczbie bite, by cenę o ile możności zniżyć.

O popularyzowaniu nauk społecznych i innych umiejętności, co podług naszego zdania winno stać na drugim planie oświaty ludowej, nie wiele wypadnie nam napisać, bo w tej gałęzi nie posiadamy jeszcze nic takiego, coby rzeczywisty pożytek przynieść mogło. Wydawnictwo K. Forstera bardzo pożyteczne, ale jak słusznie powiada autor przeglądu literatury ludowej w »Tygodniku Poznańskim« nie dla naszego prostego wiejskiego ludu, lecz dla księży, nauczycieli, a nawet i dla nie jednego z większych właścicieli ziemskich. Dzieło Thiers'a »O własności« nietylko że przedmiotem samym ściśle naukowym jeszcze nie zupełnie stosowne dla ludu ale i odstraszające objętością. Kraszewski rozpoczął był wprawdzie przed kilku laty w Warszawie stutomową bibliotekę naukową dla ludu wydaniem streszczonego wykładu astronomji i pierwszych pojęć o ziemi i świecie, ale na tem się też i skończyło. Zresztą astronomja, choćby najkróciej i najtreściwiej opisana, wydaje się nam jeszcze wcale tu niepotrzebną w obec innych nauk, których popularyzowanie dotychczas jeszcze odłogiem leży. W tym dziale piśmiennictwa dla ludu winniśmy przedewszystkiem szczególniejszą uwagą zwracać na to, co lud z najbliższej strony dotyka, co mu może jakąkolwiek materjalną korzyść przynieść. Bliższa koszula ciała, jak powiada stare przysłowie. — Na teraz postarajmy się o treściwy a przystępny wykład pierwszych przynajmniej pojęć o gospodarstwie narodowem, winny tu także znaleźć miejsce nauki przyrodnicze głównie ze względem na stronę utylitarną, i hygiena. Potem wartoby pomyśleć o geografji fizycznej, przynajmniej mając na uwadze ziemię własną. Oto pole, nastręczające się naszej młodzieży piszącej, na którem praca jej wydałaby bujny i obfity plon. Wielu z próbujących sił swych na powia-

*) Musimy tu dodać, że słowa te nie odnoszą się do samego Wojcickiego, lecz raczej do owych powieściopisarzy, którzy apoteozują chwile najgłębszego moralnego upadku narodu, wiek XVIII.

stkach, opowiadaniach, i t. p. które zresztą nie zawsze granice mierności przekraczają, czyż nie lepiej użyłoby pracy swej, poświęcając młode talenta i usiłowania swoje staraniom około oświaty ludu? Czyż nie byłoby to większą zasługą w obecnej chwili, niżeli napisanie dziesięciu chociażby w istocie dobrych powiastek?..

›Ludzie średniemi tylko obdarzeni zdolnościami i zasobami materjalnemi, ale przejęci prawdziwem, bezinteresownem zamiłowaniem dobra publicznego są nieraz w stanie daleko zbawienniejszy wywrzeć wpływ na społeczeństwo, niż najzdolniejsi i najmajętniejsi...‹ — powiada bardzo trafnie autor przeglądu lit. lud. w Tyg. Pozn. — prawdziwa albowiem miłość, ciągle nowych zyskująca sprzymierzeńców i niczem z toru zbić się niedająca, jest w daleko wyższym jeszcze stopniu twórczą, niż bieda i własna potrzeba.

Tego dowodem są reprezentanci literatury łużyckiej. Lud łużycki w liczbie przeszło stutysięcy mieszkańców, ze wszech stron otoczony niemczyzną, tak pod względem politycznym, jako i religijnym na dwie rozerwany części, należąc w połowie do królestwa saskiego i kościoła katolickiego, w połowie do Prus, i kościoła protestanckiego, pozbawiony swoich naturalnych przewodników, jakimi są: szlachta, księża, urzędnicy, zamożni kupcy i fabrykanci, zdawał się być skazanym w najbliższym czasie na zagładę pod względem narodowości, tem bardziej, że ani wspomnienia wspaniałej przeszłości, ani widoki świetnej przyszłości do utrzymania narodowej odrębności zachęcać i zagrzewać go nie mogły. W porównaniu do nich można nazwać położenie pruskich Mazurów dotąd liczących około cztery kroć sto tysięcy ludności polskiej i stykających się z jednej strony z Kongresówką i polskiemi po największej części Prusami zachodniemi a z drugiej z Litwą, i położenie Górno-Szlązaków około jeden miljon ludności liczących i o Polskę, Morawy i Czechy opartych — w ogóle jeszcze świetnem. Tylko pod względem nędzy i ciemnoty, były te trzy ludy ze sobą całkiem zrównane, były jeszcze przed kilkunastu laty, ale dziś już nie są. Znalazło się kilku ludzi dobrej woli, którzy jeden z tych ludów dźwignęli z ciemnoty i nędzy. Nie byli to wszakże bynajmniej światli, wielkoduszni i zamożni z sąsiednich Prus zachodnich, Kongresówki albo Litwy panowie, jakbyśmy może skłonni byli sądzić, którzyby się zajęli losem swych nieszczęśliwych ziomków w Prusach wschodnich, ani też z W. Księstwa, Królestwa, Galicji, poświęcający się dla dobra swych rodaków w Górnym Szląsku kapłani — ale byli to ubodzy łużyccy bakałarze, jak Smoler i jego towarzysze, którzy za pomocą pism i towarzystw postanowili lud swój dźwignąć. Dosyć powiedzieć iż każde ich czasopismo (a wychodzi ich kilka) ma więcej abonentów niż którekolwiek pismo polskie, a lud łużycki stał się oświeceńszym pracowitszym i zamożniejszym od wszelkich innych w Niemczech.

Oto, co zdołają uczynić usiłowania kilku poświęcających się szczerze i ochotnie pracy około dobra narodowego. Nie potrzebujemy stawiać tu więcej podobnych przykładów, widzimy je na ludzie czeskim, na dogorywającej już prawie przed niedawnemi laty narodowości i literaturze Słowenów karyntyjskich, kraińskich, styryjskich i istryjskich, która obecnie znowu poczyna odżywać i ruszać się, nareszcie na ludności polskiej w Szląsku austrjackim, gdzie Gwiazdka Cieszyńska niezmordowanego w szlachetnych usiłowaniach p. Stalmacha życiodajne światło roznieca na obcymi żywioły tłumione wsie i miasteczka. Patrząc na tę zaiste świętą walkę o życie ducha narodowego, nabierzmy sił i otuchy do podwójnej pracy na tem polu u nas — przyznajmy to niestety... odłogiem prawie jeszcze leżącem...

*H. Mierzeński.*

# Korespondencje.

**Kraków** 26 lutego 1866. (Spóźnione.)

(Posiedzenie Wydziału Towarz. bratniej pomocy. — Powody do założenia czytelni akademickiej.)

Wczoraj odbyło się pierwsze posiedzenie członków Wydziału towarzystwa w obecności kuratora dr. Skobla, profesora na wydziale lekarskim. Kurator w krótkiej wstępnej przemowie odwołał się do zaufania i życzliwości młodzieży, jakiej zawsze dawała dowody względem swych profesorów. Wyznaczono kilka komisyj, a mianowicie: do ułożenia regulaminu obrad, do urządzenia teatru amatorskiego, do zredagowania odezwy do publiczności i ułożenia odpowiednich dyplomów dla członków honorowych, tudzież rozesłania zaproszeń.

Wydział nie próżnuje, we środę d. 28. drugie będzie posiedzenie. Mamy nadzieję, że gdy najważniejsze ukończą się czynności, wydział zajmie się urządzeniem czytelni akademickiej i poczyni stosowne kroki o zatwierdzenie tejże przez władzę.

Cel czytelni jest trojaki: towarzyski, naukowy, ekonomiczny.

Co do pierwszego. Młodzież rozstrzelona na czterech wydziałach wszechnicy — zajęta pracą i zarobkiem na kawałek chleba, mało ma styczności z sobą, a każdy pojedyńczy wydział odrębnym kroczy szlakiem. Trzebaby dać sposobność połączenia się wydziałów w jedną całość, poznania się między sobą tych, co chociaż rozmaitą poszli drogą, przecież kiedyś w życiu nieraz zetkną się razem.

Co do drugiego. W szkołach średnich młodzież zmuszoną jest emulować z sobą w naukach, z powodu codziennego egzaminowania jej przez nauczycieli. U młodzieży młodziuchnej poniekąd przymus jest bodźcem do nauki — na wszechnicy młodzież dojrzała, uważa za jedyny bodziec uczenia się własną wolę, przekonanie i zamiłowanie. Lecz nie u wszystkich w tym samym stopniu objawiają się te trzy czynniki — i nie wszystkim jednakowe towarzyszą okoliczności. Zgromadzanie się we wspólnej czytelni dałoby sposobność młodzieży porozumiewania się wzajemnego względem nauki, objawiania postępów uczynionych w tejże i zachęcenia się wzajemnego tam, gdzieby się tego okazała potrzeba.

Co do trzeciego. Każdy z młodzieży pragnie, o ile czasu mu starczy, obznajamiać się z biegiem wypadków, przesuwających się na widowni świata politycznego. Każdy pragnie przeczytać ten lub ów dziennik polityczny i w tym celu szuka sposobności do tego, a sposobność — w kawiarni. Sposobność taka kosztuje wiele grosza, niepotrzebnie marniejącego. W czytelni byłyby pisma literackie i polityczne, utrzymywane wspólnym kosztem — a koszt ten rozliczony na jednostkę byłby bardzo małym.

Te są powody w krótkości wykazane, dla których założenie czytelni akademickiej byłoby pożądanem. *C. P.*

**Lwów** dnia 19go marca 1866.

(Sprawy uniwersyteckie: Towarzystwo bratniej pomocy — podanie o Czytelnię akademicką.)

Towarzystwo bratniej pomocy, istniejące dopiero od dwóch miesięcy, wzmaga się powoli w siły. Stanowczemu jego rozwinięciu się, tak by rzeczywiście objęło wszelkie potrzeby młodzieży akademickiej, stoją na przeszkodzie okoliczności, których usunięcie tylko od młodzieży zależy, a przytem dłuższego wymaga czasu. Pierwszą z tych przeszkód jest nie dość gorliwe zajęcie się Towarzystwem ze strony ogółu młodzieży. Koleżeństwo nasze jest jeszcze tak młode, jeszcze do tyla w zarodku dopiero istniejące, że nie można było nawet myśleć o tem, ażeby od razu wszyscy pojęli całą ważność Towarzystwa i wszyscy gorliwie się niem zajęli. Gdy koleżeństwo i braterstwo się wzmoże do tego stopnia, że sprawę kolegów potrzebujących pomocy wszyscy będą uważać za swoją sprawę, skoro w stosunkach koleżeńskich więcej będzie życia, więcej wzajemności i wspólności, wtedy dopiero Towarzystwo znajdzie w całej młodzieży akademickiej gorliwe zajęcie i poparcie. Czas i praca doprowadzą nas do tego.

Bardzo ważną przeszkodą w działaniach Towarzystwa jest ta okoliczność, iż pewna część akademji uchyliła się zupełnie od niego. Przez dziwny jakiś i niczem niewytłumaczony wstręt Rusinów zostających na wszechnicy, a z drugiej strony przez brak odwagi ze strony reszty młodzieży do uczynienia pierwszego a stanowczego kroku do pojednania — straciło Towarzystwo stu dwudziestu członków. Teraz więc powinno być najważniejszem zadaniem młodzieży istniejącą niezgodę przełamać i podać sobie rękę do zgody. Kto do tego pierwszy krok zrobi wcale się tem nie poniży, a przeciwnie zasłuży się wobec całej wszechnicy. Sądzimy, iż Rusini mogli się już przekonać, że Towarzystwo nie ma i mieć nie może żadnych odrębnych dążeń i celów, któreby im mogły szkodzić, i że przeto śmiało mogą doń należeć. A i Polacy powinni się już byli przekonać, że w piersiach tej ruskiej młodzieży

zacne biją serca, że tylko nam ją zrozumieć potrzeba — a jeżeli są między nimi ludzie, którzy nie zawsze prostemi chodzą drogami, to są to wyjątki, z których na ogół wnosić się nie godzi. Wszak i między nami wyjątki takie znaleźć się mogą. Starajmyż się przedewszystkiem o rozszerzenie osobistych koleżeńskich stosunków na cały ogół młodzieży akademickiej, starajmy się wzajemnie poznać i zrozumieć, a wszelkie niesnaski będą musiały zniknąć, i na przyszły rok nie będzie nikogo na wszechnicy, ktoby stał po za obrębem Towarzystwa.

Pisaliśmy już dawniej o wadliwości statutów Towarzystwa, które czynności jego w bardzo ciasne ograniczają ramki. Władze akademickie starają się ze swej strony o to, by czynność tę jeszcze bardziej ograniczyć. Na dowód dwa następujące przykłady:

Powstała w Wydziale Towarzystwa myśl, by tenże zajął się wyszukiwaniem i rozdawaniem lekcyj i miejsc różnych dla kolegów, którzy tego potrzebują. Kto wie, jak wielka część akademickiej młodzieży zajmuje się udzielaniem lekcyj i z niego wyłącznie się utrzymuje, kto wie, jak trudno czasem dostać lekcji, szczególnie dla takich akademików, którzy na pierwszy rok z prowincji przyjechali — uzna całą użyteczność podobnej myśli. Wydział Towarzystwa byłby w ten sposób pośrednikiem między publicznością potrzebującą nauczycieli a akademikami, szukającymi takiego zajęcia; tym ułatwiłby znalezienie go, publiczność zaś miałaby pewną rękojmię. Ale sprzeciwił się temu kurator Towarzystwa, twierdząc, iż tego nie ma w statutach. Daremnem było tłumaczenie, iż słowa „wsparcie“ użytego w pierwszym statutów paragrafie, nie można brać wyłącznie w znaczeniu wsparcia pieniężnego; że zresztą jest jedno, czy Wydział da komuś pieniądze, czy postara się o zajęcie dla niego; musiano się pocieszyć tem, że na przyszły rok wniesie się w tej myśli dodatek do statutów, i że dodatek ten niezawodnie sankcję rządu otrzyma. W ten sposób działalność Towarzystwa byłaby znacznie skuteczniejszą a pomoc trwalszą, niż gdyby się wyłącznie ograniczono na rozdawanie pieniędzy.

Drugim przykładem, jak władze akademickie ścieśniają zakres działalności Towarzystwa, jest fakt następujący: Z końcem pierwszego kursu bardzo wielu zgłaszało się do Wydziału o zapomogi, tak że znajdująca się w kasie gotówka ledwie mogła wystarczyć. Pokazało się, że wielka część tych żądań była spowodowana potrzebą zapłacenia czesnego, od którego jak wiadomo, każdy pilny słuchacz uniwersytetu nieposiadający dostatecznych funduszów, może być uwolniony. Ponieważ zaś w statutach Towarzystwa wyraźnie powiedziano, iż zapomogi mają być dawane tylko pilnym i ubogim słuchaczom, wniosek ztąd naturalny, że Wydział nie powinien dawać zapomóg na zapłacenie czesnego, musi bowiem przypuszczać, że każdy słuchacz kwalifikujący się do zapomogi od płacenia czesnego jest uwolnionym.

Pokazało się jednak, iż o uwolnienie to nie tak łatwo, jak się zdawać mogło. Wydział Towarzystwa więc zważywszy wyżej przytoczone powody, wystosował pełną uszanowania prośbę do kolegjum profesorów o uwolnienie kilku słuchaczy od czesnego, w której wyraźnie oświadcza, iż pewny jest, że pp. profesorowie byliby tych słuchaczy uwolnili, gdyby mogli znać ich stosunki tak dokładnie jak Wydział je zna. W kilka dni po podaniu tej prośby przyszła odmowna odpowiedź tej treści, że Wydział nie jest kompetentny w tej sprawie. Więc Wydział nie ma nawet władzy prosić, prosić w sprawie, którą zna gruntownie i w której właśnie mógłby być najlepszym pośrednikiem między profesorami a uczniami. Bo profesorowie nie mogą żadną miarą stosunków słuchaczy znać tak dobrze jak Wydział, związany z nimi stosunkami koleżeństwa i który już z obowiązku powinien wiedzieć i wie, czy słuchacz który potrzebuje uwolnienia i czy jest godzien tego; a z zaświadczenia ubóstwa wystawionego przez proboszcza z zawsze równobrzmiącą formułką ocenić tego nie można. Wydział więc sądził, że pośrednictwo jego w tej sprawie będzie nawet pożądane profesorom.

Najprzykrzejszem jednak w tej sprawie jest to odmówienie kompetencji Wydziału — który żadną miarą nie może w tak ciasny sposób pojmować zakresu swych czynności i czuje się i czuć będzie zawsze w obowiązku, wyborcom swym, którzy go swem zaufaniem obdarzyli, prócz materjalnej pomocy udzielać także moralnego poparcia, ilekroć tego będzie potrzeba. Ze statutów bowiem samych wynika, że Wydział nie jest wyłącznie tylko kasjerem młodzieży!

**W** tych dniach poszło na ręce senatu akademickiego podanie do namiestnictwa o założenie czytelni akademickiej. Brak miejsca nie pozwala mi w dzisiejszym liście pomówić o potrzebie takiej czytelni i ocenić podany projekt statutów. Odkładam więc to do przyszłego listu, kończąc wyrażeniem nadziei, że senat akademicki uznawszy tę potrzebę i jej naglość postara się o jak najprędsze przesłanie tej prośby do c. k. namiestnictwa, które zapewne słusznej tej prośbie nie zechce odmówić przyzwolenia.

---

**Lwów** dnia 17go marca 1866.

Dziś, kiedy po chwilowem otrętwieniu budzimy się do pracy na polu dobra narodowego, nieufni w żadną dawną drogę (co zresztą jest słusznem, kiedy one nas do ostatecznego nie doprowadziły celu) oglądamy się za nowem jakimś hasłem czy sztandarem, w imię którego idąc prędzej i niechybniej dostalibyśmy się do upragnionej mety. Wypróbowaliśmy już wszystkie środki, jakie nam nauki a zwłaszcza przez usta zachodnich mędrców podawały. Jednakże doświadczyliśmy, że prowadzą one na manowce, albo też wcale w stosunkach naszych są niezastosowalne. Przyczyną tego ostatniego nie był, jak niektórzy utrzymują, niski stopień rozwoju stosunków społecznych, z czego wypływa praktyczna konieczność ukształtowania naszych stosunków na wzór owych zachodnich, ale to, że duch naszego narodu jest zupełnie różny od narodów giermańskich i romańskich, a więc go innemi trzeba dźwigać środkami, ile że i kształty, jakie w społeczeńskim ustroju przybiera, muszą być jemu samemu właściwe, a więc od obcych różne. Uwagę tę rzucamy mimochodem, rezerwując sobie łaskawe względy czytelników na raz inny, gdzie o tej kwestji obszerniej może pomówimy.

Do rzeczy zaś samej wracając, w istocie już czas i wielki czas, byśmy sobie już raz przecie na prawdę zadali pytanie: Jakie jest hasło dalszej pracy, dalszego pochodu narodowego, a ponieważ narody nie są wyłączonymi osobnikami, jakie jest na dziś hasło ludzkości całej?

Już i w Tygodniku podnoszono kwestję tę kilkakrotnie. Korespondent z Wrocławia stawia na pierwszym planie narodowej pracy: oświatę ludu. Rzecz nader wielkiej wagi, ale nie może się stać ostatnim narodowego życia motorem.

Korespondent z Montpellier zwątpiwszy w wszystkie szlachetniejsze uczucia, nie śmiejąc nawet odezwać się „z miłością“, uważa za hasło nasze: opinję, dobre imię.

Nareszcie p. Kar. L. zbija powyższe twierdzenie, a natomiast każe na sztandarze naszym napisać: materjalizm, egoizm, interes osobisty.

To w Tygodniku. W kółkach prywatnych wre na ten temat nieustanna dysputa, tak śród młodszego jak i starszego pokolenia. W działaniu wszędzie chwiejność, nieuchronne następstwo nieustalonych zasad.

Że zaś każdy człowiek winien jest przyczyniać się do moralnych czy materjalnych bogactw narodu, o ile go na to sił stanie, więc i ja rzucam tu kilka myśli w tym przedmiocie.

Rozliczne odmiany zdań zbierając w ogólniejsze grupy moglibyśmy je tak pogatunkować:

Jedni zostają przy starem. Lepszem nibyto wykonywaniem przestarzałych teoryjek myślą ożywić słabnące tętno narodowego życia, a w zbliżeniu nas do ubóstwianego zachodu mniemają widzieć urzeczywistnienie swego ideału. Są to ostatecznie półśrodki.

Drudzy daleko gruntowniej na rzecz się zapatrując uważają, że konieczną jest całkowita przemiana ustroju społeczeńskiego. Oczywiście iż nie ma tu mowy o przemianach gwałtownych, bo takich skutki, jak wszystko, co z samej istoty rzeczy nie wypływa, są przemijające, podczas gdy tu chodzi o trwałość dzieła. W tym razie potrzeba grunt owego przekształcenia założyć w jednostkach, zaprowadzenie bowiem odpowiedniejszych stosunków społeczeńskich (o co tu głównie chodzi) zależy od woli pojedyńczych jednostek. W człowieku więc, w jego psychicznym ustroju należy wynaleźć sprężynę, mającą go do owej pracy zniewolić, a duchowa sprężyna ta, czy jej poruszenie będzie na teraz hasłem dalszej pracy naszej. Tu jednakże różnią się bardzo zdania.

Niektórzy stawią jako hasło nasze opinję, dobre imię, ależ to nic innego jak egoizm, szlachetności tylko pociągnięty pokostem, przytem w praktyce teorja ta tylekroć już ukazała swą nieudolność.

Dobre imię stanie się łatwo pokrywką prywaty; opinja popchnie na fałszywe drogi, jeżeli ją za jedynego kierownika przyjmiemy. Dowodzić tego nie potrzeba, bo częścią są to rzeczy dobrze znane, częścią wyręczył mię w tem p. Kar. L. w korespondencji w nr. 8.

Drudzy zauważywszy cały dzisiejszy ruch ludzki mniemają, że interes osobisty jest ostateczną pobudką ludzi i każą go wypisywać na naszych sztandarach. Zostawiając na boku wszystko inne, zastanówmy się nad zasadą egoizmu i jego stosunkiem do naszego narodowego życia.

Egoizm polega na upatrywaniu najwyższego celu własnego bytu w samym sobie. Interesem więc egoistycznym jest dążenie do jak największego uszczęśliwienia siebie samego. Dotąd moglibyśmy się może jeszcze zgodzić z egoizmem. Mówimy „mogli“, gdyż przynajmniej w ostatecznych rezultatach znaleźlibyśmy się pono na jednem polu. Wszakże i askeza średniowieczna była takim egoizmem. Obiecując za lada cnotę — niebo, za lada występek — piekłem grożąc, przemawiała ona ni to feuerbachowska teorja karna, w imię dobrobytu człowieka. — Obydwa systemy upadły z tą jedynie różnicą, że druga dobrobyt człowieka na ziemskim tylko zakładająca bycie, znikła bez śladu w praktyce i teorji, kiedy przeciwnie pierwsza długi czas rządziła światem i może wykazać wiele na tle jej wysnutych pięknych idei i więcej jeszcze czynów dla ludzkości zbawiennych.

Dzisiejsi apostołowie egoizmu, chcący go użyć za dźwignię dalszego rozwoju narodowego, są zarówno zwolennikami materjalizmu, który to podług dzisiejszych pojęć jest przeczeniem wszelkiego duchowego bytu. W ten sposób staje się materjalny dobrobyt alfą i omegą nowszych dążności.

Pamiętajmy przedewszystkiem, że ani ludziom pojedyńczym ani całym pokoleniom nie wolno się zatrzymywać w pół drogi na pochyłości logiki.

Przyjąwszy raz *cogito ergo sum*, trzeba było przyjść koniecznie (prędzej czy później — wszystko jedno) do zidentyfikowania bytu i myśli.

Przyjąwszy równość wszystkich w obliczu prawa, potrzeba zgodzić się i na równy udział w samorządzie państwa.

Tak samo przyjąwszy egoizm, który jakeśmy to widzieli, znaczy: podporządkowanie wszystkiego interesowi osobistemu, winniśmy się zgodzić z góry już na wszystkie następstwa, jakie z owej zasady wyniknąć mogą.

Pierwszem zaś następstwem jest, że każdy człowiek powinien wszelkiemi siłami starać się o zaspokojenie swych potrzeb. Wszelkie zaś inne cele (n. p. każda czynność do zadowolenia potrzeb innych ludzi) mają być uważane jako niewinna zabawka, której jednakże nie godzi się okupywać odmawianiem sobie przyjemności, albo co gorsza kosztem zaspokojenia własnych potrzeb, boć moje „Ja“ jest tu głównym celem. Wszelka zaś mowa o obowiązkach dla kraju, społeczeństwa, rodziny, dzieci, jak w ogóle o wszelkich obowiązkach jest tu w systemie bezwzględnego interesu osobistego anachronizmem.

Tu zrobić by mi można zarzut, że ponieważ dobrobyt ogółu zbawiennie oddziaływa na dobrobyt pojedyńczych ludzi, więc interes nakazuje, by mniejszem złem okupić większe dobro, częstokroć zrobić ofiarę z chwilowej przyjemności, a więc poniekąd przynajmniej na oko poświęcić się. Jednakże dałaby się ta uwaga zastósować jedynie w tym przypadku, gdy poświęcając się dla dobra ogółu można mieć przynajmniej nadzieję, że osobisty interes powiększonym zostanie. Ale jakżeż teraz wytłumaczyć, jak nawet usprawiedliwić ze stanowiska egoizmu poświęcanie się ludzi w takich razach, gdzie i najmniejszej nie było szansy do odniesienia jakichś tam materjalnych korzyści. A przecież takowe przykłady zdarzały się w historji. Ów Decjus Mus, ów Arnold Winkelried i tylu innych podobnych, dla czego dobrowolnie ponieśli śmierć. Pewnie nie dla jakichś tam materjalnych korzyści. Co więcej nawet! Poświęcenia podobne zawsze sprawie społeczeństwa służyły ogromnie. Wszak te wszystkie piękne ideje, któremi wzbogaciła się ludzkość w ciągu tylowiekowego istnienia, zostały okupione niby wysłużone cierpieniami, trudami i krwią pierwszych zwolenników. Tak więc winniśmy je poświęceniu, i ono raczej prowadziło naprzód ludzkość, bo jej coraz nowe źródło życia otwierało, nie zaś egoizm, jak to niektórzy jego zwolennicy utrzymują.

Dalej i tego przeczyć nie podobna, że dobrobyt pojedyńczych osobników nie zawsze do dobrobytu ogółu stoi w prostym, częstokroć owszem w przeciwnym stosunku. A w takim razie jakim prawem można żądać od kogokolwiek zrzeknięcia się korzyści indywidualnej na korzyść ogółu (oczywiście, jeżeli się zapatrujemy na rzecz ze stanowiska bezwzględnego interesu osobistego). A z drugiej strony któżby nie rzucił przekleństwa n. p. na prywatę, grasującą tak ciężko w naszym kraju w ośmnastym stuleciu; choć ów możnowładca, co uciskał lud, demoralizował uboższą szlachtę, publicznie drwił z wyroków trybunału, intrygował na sejmach i sejmikach, w sporach z innymi możnowładcami kraj niepokoił, nawet wrogów na ojczyznę sprowadzał, choć ów możnowładca mówimy działał zgodnie z osobistym interesem, jeżeli tylko miał tyle przebiegłości lub ślepego szczęścia, że mu się śród tych zdrożności nie powinęła noga.

Zresztą rzućmy teorję a przejdźmy do praktyki, która jest zawsze ostatnią instancją w sporze o zastosowalność jakowejś idei. Interes osobisty przedewszystkiem oddawna już powiewa na kupieckich flagach i rękodzielniach Zachodu. Lecz zajrzyjmy, dokąd doszli tam ludzie pod jego sterownictwem? Przytem zwróćmy uwagę nie na pojedyńczych ale na masy, co uczynić winniśmy, czy to jesteśmy chrześcijanami czy też chcemy się zwać humanistami tylko. Wyrobnicy tamtejsi, główna najliczniejsza część narodu, choć jadają mięso, popijają je porterem lub winem, choć chwile spoczynku przepędzają w hałaśliwych szynkach, gdzie wszystkie zmysłowe ich potrzeby znajdują zaspokojenie, toć przecie są oni mniej moralni (co przecie ostatecznie godność człowieczą stanowi) a nawet wewnętrznie mniej szczęśliwi od naszego biednego ludu. A owe dzieci siedmio i ośmioletnie, i już do ciężkiej zaprzęgane pracy, bo w stosunku większy przynoszą dochód właścicielowi fabryki? A owi starcy ginący z głodu pod fabrykami, gdzie swe siły styrali? A wszędzie zepsucie i zwierzęcość. Zaiste powabne skutki panowania osobistego interesu! A teraz nakoniec rzućmy okiem dokądby nas zawiodła owa wychwalana idea. Oto najprzód każdy pojąwszy, że sam sobie jest najwyższym i ostatnim celem, musiałby się stać dla siebie tylko żyjącym samolubem. Mielibyśmy wówczas wybornych adwokatów, techników, może nawet profesorów (bo to by naszą karjerę zabezpieczało), ale obywateli kraju, co się dlań poświęcić gotowi, ani na lekarstwo. Sprawy narodowe jak oświata ludu, podniesienie klas niższych i t. d. jeżeliby jeszcze nie były wymazane z programów naszych, to pewnie na ostatnim stałyby miejscu. Lecz czy nam tędy droga w świt przyszłych wieków? Nie zaprawdę, tędy nie dobijem się końca!

Takiego stanu rzeczy i dzisiejsi nasi apostołowie materjalizmu nie chcą, ale niech pamiętają, że choć sami wbrew przyjętym zasadom pozostaną przy nauce chrześcijańskiej, nauce poświęcenia, tej zwykłej karmi naszej młodzieży, to inni nauki przez nich podawane do ostatniej doprowadzą konsekwencji, a wtenczas zlodowaciałych piersi niczem rozegrzać nie zdołają.

Lecz może kto mię zapyta: Stara droga zła, nowa gorsza a więc którędy w życia raj? Jaka idea nas tam poprowadzi? O jest ona nie nowa, bo od wieków istnieje, nie stara, bo wciąż silna, wciąż młodzieńczo rzeźwa, idea miłości i poświęcenia.

Cośmy winni kochać, ukochaliśmy już po części, ukochajmyż całe tylko mocniej i silniej, podporządkujmy nas i wszystko co jest nasze jednej wielkiej idei, a zamiast chwilowego ruchu złóżmy na jej ołtarzu całe życie nasze.

Na sztandarze napiszmy: „obowiązki w miejsce praw, poświęcenie w miejsce osobistego interesu.“

I wtedy dopiero czyja wola do pracy na niwie wspólnego dobra. Nie oglądajmy się, ilu nas jest. Dążmy do celu śmiało, bez zboczeń, bez wykrętów, bez ustępstw na niekorzyść naszego znaku — choćbyśmy w drodze wszyscy mieli wyginąć, byle choć ostatni zatknął go u mety. Bądźmy pokorni tam, gdzie się zbierają laury dla prywatnych głów, ale na czele i w pierwszym rzędzie tam, gdzie trzeba cierpieć i poświęcić się za ludzkość — naród — ziomków — choćby wrogów nawet. A w ten sposób utworzy się silny zastęp pracowników na polu pracy narodowej — silny, bo miłością wspólnego dobra związany — a w którym każdy nie swego lecz drugich dobra szuka, a ostatecznie swoje znajduje. Jedno tylko robię zastrzeżenie. Nie dozwólmy podszywać się pod nasz znak nikomu, kto przenosi śmierć nad ciernistą drogę życia śród pracy i trudów.

*W. K.*

---

**Anioł ziemi.** Srebrny śpiew przez T. L. Lipsk, Paweł Rhode. 1866.

(Dokończenie.)

Męczeństwo dokonane na pojedyńczych głosicielach prawdy: na Sokratesie i Baranku bożym przybiera coraz większe rozmiary, jak autor sam pięknie w dedykacji wyraża: „Przez wieki widziałem prze-

chodzącego Baranka miłości; szedł on z pokorą prawdy i wszędy go mordowano, — objawiał się w tysiącach i zabity był".

Szerzy się więc męczeństwo, ale nie jest to pogorszeniem tylko owszem polepszeniem, jest w tem postęp, bo większa ilość poświęcających się za „prawdę" jest dowodem, że uznanie prawdy się szerzy.

Tego postępu smutnym obrazem jest „Roma", którą autor opiewa w pieśni trzeciej. W pierwszych dwóch zwrotkach zawiera się już ogólna myśl przedzierzgnięta, wedle widzenia poety, przez całe dzieje Rzymu.

Idźmy za Eneaszem, oto w złotej zbroi
Połamanej od Greków idzie, — szumi Tyber
I powietrze łagodne powiewa.
Bóg wojny pchnął cię na świat, rośnij szczenie wilcze.
Młodość twoja to Numa, Regul i Cyncynat,
Prawo, poświęcenie i męztwo,
Starość twoja to puhar, podłość i korona —
Idźmy, on już postarzał.

Całe dzieje Rzymu przedstawione w mistrzowskim obrazie pieśni III. dzielą się na trzy części. Jedną część stanowi obraz wzrostu potęgi rzymskiej. Ciemny to obraz:

Kogo mieczem nie zgładzą, temu powróz włożą,
Na ich twarzach sępi się wola wszechwładnącej.
Na ujarzmienie świata wychodzą kohorty,
Sąż to republikanie?

Skończywszy ten obraz, przechodzi poeta do drugiej części:

To Rzym tryumfujący; dotąd Roma stoi
Jako niewiasta dumna wykuta z marmuru,
Oparta na Wilczycy jak na piedestale,
U nóg jej leży księga Cycerona
I niewolnik związany prawem i łańcuchem.

Odtąd następuje nowy czas:

Błyskawice po niebie przebiegają czarnem,
Kruszący piorun trzaska w mury Kapitolu,
I rozbija brązową leżącą wilczycę;
Na jej miejscu baranek stanie srebrnorunny
Z chorągwią zmartwychwstania na dzień wielkanocny,
Kiedy zwycięży miłość i spadnie noc dniowa.

Obraz prześladowania chrześcijan i męczeństwa tychże nie przedstawia nam nic nowego co do przedmiotu; odznacza on się wszelako żywością ubarwienia. Najwybitniejszą stroną tego obrazu jest ów wspaniały kontrast między dzikiemi zwierzętami, które zwyciężone spojrzeniem świętego ustępują, podczas gdy ludzie, służalce cezara dziksze jeszcze od zwierząt mordują chrześcijan:

A męczennicy pieśni podnieśli żałobne,
I żegnają lud rzymski milczący, przelękły.
Wznieśli wysokie krzyże,
Chmury czarne na całym legły horyzoncie —
O Panie! przecz oblicze Twoje zasłoniłeś,
Toż my w jasność iść mieli i grzmot ziemią zatrząsł,
A piorun rozdarł ciemności i błyskawicami
Oblał cyrk, wskazując świętym drogę w górę, w złoty ogień
I ciała świętych oto podwyższone są, Allelujah!
Czemu uciekasz z cyrku narodzie szalony?
— — — — — — — — —
Zostańmy tu bracie
Wszak to już trzecią widzim śmierć i trzeci naród,
Który Boga zabija.

Skończył się drugi perjod dziejów pogańskiej Romy, sama ona przerażona swoją dzikością upada przed blaskiem nowej ery, panowania chrześcijaństwa. Trzecia część pieśni jest zwiastowaniem Romy chrześcijańskiej.

A na krużganku Piotra, świątnicy Anielskiej,
Gołąb miłości rzuca w świat błogosławieństwo,
Staje kapłan następca Piotra z duchem świętym
I pastorałem w trupa świata uderzając,
Woła potężnym głosem: „Wstań w imię Chrystusa!"
Amen! — — — — — — —

W pieśni czwartej i piątej prowadzi nas autor „do niewinnie zabitych ludów, do Szkocji i Irlandji! do Polski! do Polski!

Pieśń czwarta nosi napis: „Kaledonja" i opiewa w formie pieśni Ossjanowych tę krainę północnego Homera, Fingala i Bardów, walki bohaterskie Szkotów i Irlandczyków i zgnębienie tych ludów przez Anglików.

Kończy się pieśń proroczym ustępem:

„Szkocja i Irlandja powstać muszą, bo nie zabiły Baranka Bożego, a który naród go zabija, ten tylko upada; po zwycięztwie nad królami niewoli przez ducha prawdy będą one miały wieńce miłości i modlitwa ich będzie bliską Boga. — Powstaną one tak pewno, jak to, że słońce przychodzi w dnia poranku, jak to jest prawda, że po wszystkiej ziemi z więzień słychać przekleństwo na tyranów, we krwi niewinnej pływających łódką rozkoszy."

Ostatnia pieśń poświęcona Polsce, opiewa najświetniejsze jej epoki dziejowe.

Polskę przedstawia poeta uosobioną w Wandzie. Po sielankowo-opisowym wstępie wchodzi poeta z towarzyszem swoim, którego przeprowadził przez tyle wieków i krajów, na Wawel:

I widzimy dziewcząt grono,
Niosą pannę utopioną,
W białej szacie sama biała,
Twarz spokojna, jakby spała —
Młodzi ludzie płaczą rzewnie
Starzy ludzie cicho radzą
A gęśl smutna brzęka śpiewnie.
— — — — — —
Nad jej ciałem zaśpiewali:
„Utopiona w modrej fali,
Wanda leży w naszej ziemi."
— — — — — —
— w tej pannie poświęcenie
Jasność była i zbawienie,
Niepodległość, wolność, całość.
Nad dziejową idziem rzeką —
Płynie ona tak daleko.

Znowu opis uroczy Polski zasianej zamkami, Polski rycerskiej znowu patrzymy na Wawel i

Widzieliśmy króla w zbroi —
— — — — — —
I oglądał ten brat dobry
Z owej góry Polskę całą,
Którą okrył wtedy chwałą
On Bolesław, rycerz Chrobry.

Następuje Władysław Warneńczyk, dalej napady Tatarów, Krzyżaków, Szwedów i znowu bohater: Czarniecki.

Lecz nie koniec! oto dalej
Tłumy Niemców i Moskali
— — — — — —
Polska świeci jak ofiara
W strasznej ludzkich dziejów nocy,
Gdy z stron wszystkich burza wieje
Czyjaż ręka nie zemdleje?
Broni jeszcze lud ubogi
Swojej świętej Polski drogiej.
....I pikami i kosami
Świeci pod Racławicami.
Pokąd wódz ich nie zawoła
Ocierając swą krew z czoła
Raz ostatni w smutne błonia
*Finis Poloniæ* i z konia
Spada, wzięty do więzienia.
Nadszedł straszny dzień zniszczenia
I ni woli dni początek
Znany z rzezi niewiniątek.

Kończy autor dzieje męczeństwa wzmianką o rzezi galicyjskiej, pieśń zaś samą odezwą do Wandy, którą tu już identyfikuje autor najwyraźniej z Polską i z Prawdą.

Prawdo wieczna! Wando moja
Unosi się postać twoja
Przy nas, ilekroć kajdany
I miecz wroga połamany.
— — — — — —
Przez ciebie się na Wawelu
Słowo Prawda zawiązało,
Wciąż na skale postać twoja
Leży, senna Wando moja,
Polsko moja,
Porzucony u twej skały
Orzeł biały.

Po tej pieśni wspanialszej pod względem pomysłu niż pod względem formy, następuje „Zakończenie", które nosi tytuł „Syberja". Ta część poematu jest różną od poprzednich, nie masz w niej albowiem opisu Syberji, podczas gdy każdą z poprzednich pieśni zaczyna autor opisem pięknym kraju, którego następnie obraz dziejowy daje.

Tu przedstawia się w postaci więźnia obraz wszystkich cierpień Polski i tożsamość tego ducha Polski z duchem prawdy i miłości co przez wieki był męczony i zabijany.

Poeta zapytuje go po trzykroć: I któż ty jesteś? a dając obraz męczennika, w przemowie do niego charakteryzuje go w następny sposób:

I patrzysz na świat królów bez przekleństwa
I nawet wieniec zrzuciłeś cierniowy,
Jakbyś był wolny od łez i męczeństwa.
Zdajesz się mówić: „krew, co ze mnie ścieka
Jak rdza z żelaza, rozkuje człowieka.
— — — — — — —
I on milczący, w świetle na wzór Boga.
— — — — — — —
Jak nam znajome jego wzniosłe czoło,
Które przed tronem królów się nie kłania,
Jak nam znajome to promienne koło
Znaczące syny Boga w dniach wygnania.
— — — — — — —
I nie wiem, czy on z nieba czy ze świata,
Bo w nim uczuwam i Boga i brata.

Piękna to postać męczennika, więźnia, który wszystkie cierpienia znosi z pogodnem czołem i „bez przekleństwa", ale gdy słyszy

— — miljony westchnień, brzęk łańcuchów,
Jęki i bole wielkie mniejszych duchów,
A onby pragnął serce wydrzeć z siebie,
Pierwszy raz westchnął, pierwszy raz nie w niebie —

Jeszcze raz pyta go poeta: „Kto jesteś?" a on, który na własne bole tak był obojętnym i tak je znosił pogodnie, odpowiada, jakoby dla ulżenia boleści, którą mu zadaje widok cierpiącego narodu. Jest on ten sam, co od wieków cierpi.

Matki mej synowie
Przecz mnie pytacie, w gruzach Babylonu
Są jeszcze krwawe plamy mego zgonu
— — — — — — —
Potem trucizny wychyliłem krater
— — — — — — —
Potem konałem, podniósłszy ramiona,
Wtedy się prawdy rozpękła zasłona
— — — — — — —
Potem konałem, lecz już tysiącami
Na cyrku rzymskim — — — —
— — — — — — —
Nakoniec smutno — jako naród cały
Umarłem —

Wszystkie narody co go zabijały poginęły, jeszcze tylko te żyją, co go zamordowały „jako naród cały".

Zbrodnia spełniona — cóż nastąpi dalej?
Biada tym, którzy Boga mordowali.
Idźcie i czyńcie i walczcie jasnością,
Polska natchnieniem wstanie i miłością
I krwią niewinną; — — — —

Gdy „Więzień" opowiedział swoje dzieje, które są dziejami Boga cierpiącego w ludzkości, wtedy

— — — — z kopalni ciemnych
Głos robotników słyszymy podziemnych,
Jakoby z grobów do słuchu doląta
Pieśń niewolników o zbawieniu świata.

To ostatnia przemiana tej wszechdziejowej tragedji, ostatnie morderstwo Boga, dokonane na Polsce. Ponieważ wszystkie ludy „co Boga zabiły" poginęły, więc zabójstwo dokonane na Polsce budzi nadzieję, którą poeta wypowiada silnie:

Bijcie nas niewierni,
Za waszą wolność dajemy krew naszą,
Aboć strumienie światła w was zagaszą
Tę srogą dzikość, i z szalonej czerni
Zabijającej naród Boga w świecie,
Powstanie nowo narodzone dziecię,
Pełne miłości i wiary głębokiej: —
Dalej, królowie, mordujcie proroki,
Zabijcie cały naród — z tej krwi wstanie
Złotej wolności Boskie panowanie.

Poemat zakończony jest widzeniem:

Patrz, w błyskawicach jak się kąpią miasta —
Co chwila z grobów nowy duch wyrasta.
Wlokąc za sobą długie szaty białe —
Idący widzieć — i ku niebios progom
Śpiewają — „Przebacz Boże naszym wrogom!"

Treść przedstawiona tu pokrótce okazuje już bogactwo przedmiotów, objętych poematem. Trudno znaleźć w literaturze poetyckiej dzieło obejmujące w mniejszych ramach obraz tak rozległy. Boć mamy w Dantego Komedji wprawdzie wszechdziejowy poemat, ależ w jak wielkich rozmiarach! „Poemat niedokończony" Z. Krasińskiego przeprowadza nas także przez całe dzieje ludzkości, lecz obok wysokich zalet nosi dzieło to rzeczywiście cechę niewykończenia na sobie i brakuje mu zaokrąglenia artystycznego. Tej wady nie ma „Anioł ziemi". Każda pieśń stanowi całość za siebie. Co do formy jest każda pieśń zastosowaną do przedmiotu, bo ułożona podług wzorów najcelniejszych owego narodu, z którego dziejów przedmiot wzięty. Pieśni odnoszące się do Polski przypominają co do toku wiersza, dykcji, nawet pewnych obrazów inne poezje Lenartowicza.

„Anioł ziemi" zadowalnia pod względem estetycznej wartości; nie można mu uczynić żadnego zarzutu pod względem etycznym; myśl przeprowadzona w poemacie odbija się w przykładach dziejowych bardzo wyraźnie: że narody zabijające swoich proroków, walczące przeciw prawdzie, a mybyśmy powiedzieli po naszemu, stawiące opór postępowi dziejowemu, muszą zaginąć. Jednakże mamy do uczynienia tę uwagę, że prawidło miłości chrześcijańskiej zastosowane do dziejów, a raczej będące rdzenią dziejów, występuje w poemacie prawie tylko jako **zasada bierności**, poddania się jedynie męczeństwu. Na to się zgodzić nie możemy i zdaje nam się, że sam autor nie mógł mieć na myśli samego tylko biernego męczeństwa, a jednak nadaje poematowi tę cechę między innemi końcowy wiersz

— a pod koniec drogi
Wstąpić nam trzeba na szafotu progi
I ucałować krwawy topor kata,
Dla Polski naszej, dla zbawienia świata.
Śpiewając pieśni wolnością natchnięte
Spadną nam głowy, jako róże ścięte.

Tak: ucałować topor, śpiewać pieśni wolności i ponieść głowy — ale wszystko to niech będzie epilogiem żywota **pełnego czynów**.

*K. W.*

# Odczyty popularne
## dla przemysłowców i rękodzielników.

(Ciąg dalszy.)

W dalszym ciągu wykładu o **meteorologji** profesor Stanecki okazywał o ile ważną jest wiadomość średniej temperatury pewnej miejscowości dla botanika, agronoma, w ogóle dla każdego zajmującego się uprawą roślin, jako też badającego warunki życia i wzrostu tychże; jak każda roślina przesadzona w miejscowość o różnej temperaturze od jej przyrodzonej, cierpi i powoli się wyradza. Wymieniwszy kilka roślin i właściwą im temperaturę, dłużej się zatrzymał przy winnej latorośli, która pomimo że wymaga średniej temperatury 10°, jednak była dawniej uprawiana we Lwowie na górze zamkowej w znacznej ilości, chociaż temperatura średnia Lwowa jest tylko 6, 5°, także w Przemyślu, na Tyńcu pod Krakowem, w Sandomierskiem i na Ukrainie i dopiero ułatwieniem transportu lepszego wina z zagranicy, uprawę takowego u nas zaniedbano.

Następnie wykazał zbawienne skutki ruchu powietrza czyli wiatrów, które usuwając nagromadzające się wyziewy szczególniej po miastach oczyszczają powietrze; a oraz szkodliwe, które sprawiają uragany pustosząc nieraz całe okolice. Wiatry co do siły są różne; i tak wiatr łagodny z chyżością 4' na sekundę, powolny przebiega 6', dalej silny do 30', wicher do 60', a nakoniec uragan z chyżością 120' – 150' na sekundę. Dalej są wiatry tak zwane alizejskie, stateczne, wiejące stale w jednym kierunku, pojawiające się najczęściej w okolicach podrównikowych, wiatry perjodyczne, wiejące w pewnych porach roku lub godzinach dnia; do tych należą tak zwane wiatry przybrzeżne powstające przy brzegach mórz i w ogóle wszystkich większych rzek i jezior, wiejące w dzień od wody do lądu, w nocy zaś od brzegu ku wodzie, nakoniec wiatry zmienne wiejące w różnych kierunkach. Przyczyny powstania wiatrów są różne, zawsze jednak są wynikiem różnicy temperatury w przytykających do siebie przestrzeniach powietrzokręgu postałej przez zbytnie naprężenie powietrza w pewnej miejscowości już to przez podniesienie się temperatury ziemi, lub też nad wodami w skutek nagromadzonej pary wodnej rozrzedzone powietrze usiluje wznieść się w górne warstwy, usuwając przed sobą wyżej nad niem się znajdujące; tym sposobem powstaje ruch ciągły w kierunku powietrza

cieplejszego ku zimniejszemu, u dołu zaś w przeciwnym, gdyż w powstałą próżnię przez usunięcie się powietrza ogrzanego w górne warstwy, zimniejsze powietrze się wciska.

Następnie profesor Płachetko w dalszym ciągu wykładu o elektryczności przystąpił do galwanoplastyki opartej na własności tejże rozkładania ciał chemicznie złożonych na ich pierwiastki lub składniki, a mającej obszerne zastosowanie przy złoceniu, posrebrzaniu, jako też w rozpowszechnianiu odcisków wszelkich monet i arcydzieł sztuki, osadzając na modelach powłokę metaliczną z użytych na ten cel roztworów solnych przez powolne działanie prądu elektrycznego. Okazał przyrząd służący do tego celu dla przedmiotów małej objętości, jako też opisał naczynie, w którem ta czynność się odbywa na większą skalę. Wykazał sposób postępowania przy wykonywaniu odcisków miedzianych, srebrnych, złotych i platynowych, przy czem jako roztworów w pierwszym razie używa się siarczanu miedzi, w drugim saletranu srebra, przy złocie i platynie wody królewskiej, podsycając je zawieszoną w nich płytą miedzianą, srebrną, złotą lub platynową. Jeżeli medal którego odcisk chcemy otrzymać jest ze złego przewodnika np. gipsu, wówczas przedewszystkiem należy go pociągnąć cienką warstewką dobrego przewodnika, do czego się zwykle używa grafitu. Chcąc przedmiotom szklannym nadać powłokę metaliczną, należy miejsca mające być powleczonemi napuścić kwasem fluorowym, pozostałe zaś części woskiem. Żelazo mające być pozłocone pierwej się powleka cienką warstwą miedzi. W końcu objaśniał różne sposoby, jakich używano do otrzymywania odcisków za pomocą galwanoplastyki, a ostatecznie dla lepszego zrozumienia postępowania, pozłocił na prędce blaszkę metalową.

(C. d. n.)

## Przegląd naukowy, literacki i artystyczny.

— O wydaniu francuskiem Konrada Wallenroda donosząc w n. 17 „Tygodnika“ nadmienilismy jakoby pierwsze ilustrowane wydanie tego dzieła wyszło było przed kilku laty za staraniem Władysława Mickiewicza. Otrzymawszy jednakże od p. J. K. Żupańskiego z Poznania wyjaśnienie zamieszczamy je: „Od lat może dziesięciu powziąłem myśl wydania w edycjach ilustrowanych znamienitszych naszych poetów, aby usunąć ze stolików, salonów i domów polskich ilustracje zagraniczne, często nie artystycznie wykonane i oszpecone treścią poematu nie-estetycznego. Skutkiem tej myśli było wydanie ilustrowane dzieł: Zachwycenia i Błogosławionej Lenartowicza; Konrada Walenroda, Pani Twardowskiej i Grażyny Adama Mickiewicza i Pieśni o ziemi naszej. Z Panem Władysławem Mickiewiczem wszedłem w spółkę co do wydania francuskiego Konrada Walenroda, Pani Twardowskiej i Grażyny, użyczając mu miedziorytów kompozycji Antoniego Zalewskiego będących własnością mojej księgarni. Poznań dnia 26 marca 1866. K. Żupański.“

— Wyszła w Poznaniu u Ludwika Merzbacha mała broszura H. Cegielskiego, wiceprezesa Towarzystwa Pomocy Naukowej imienia K. Marcinkowskiego w Poznaniu: „Życie i zasługi doktora Karola Marcinkowskiego“. H. Cegielski na dorocznem posiedzeniu Towarzystwa Pomocy Naukowej, które istnieje już od lat dwudziestu pięciu, miał przemowę do zgromadzonych członków, w której wspomniał o życiu i zasługach założyciela i tę swoją przemowę wydał pod powyższą nazwą. Niezawodnie całe towarzystwo to oraz tegoż założyciel mało są naszej publiczności znane, z tego więc powodu zasługuje broszura H. Cegielskiego na bliższe zastanowienie się. Dokładniejszą wiadomość o tem towarzystwie podamy w osobnym artykule, zwracając uwagę na gwałtowną potrzebę takowego u nas.

Karol Marcinkowski, jak nam opisuje w swej przemowie H. Cegielski, syn ubogiej wdowy po furmanie, a która sama trudniła się garkuchnią, dobił się niezmordowaną pracą stopnia doktora medycyny, i jako taki osiadł w swym rodzinnem mieście w Poznaniu, gdzie jako zdatny i sumienny lekarz znalazł powszechną wziętość. Ale ileż to lat mozolnej pracy, której na zawadzie stawały materjalne przeszkody trza było przebyć, a co przy odpowiednich materjalnych stosunkach daleko łatwiej i korzystniej dało by się uzyskać! I oto myśl, która natchnęła Marcinkowskiego do utworzenia stowarzyszenia, któreby miało głównie na celu wychowanie publiczne, które dobrze poprowadzone tworzy światłych i prawych obywateli ku pożytkowi i dobru powszechnemu, które li jedynie podnosi z zaniedbania i upadku naród. To też Marcinkowski poświęcający się z całem moralnem przeświadczeniem swego powołania leczeniu chorych, Marcinkowski walczący w szeregach ojczystych i pełniący zarazem obowiązki lekarza w latach 1830 i 1831 na polach Grochowa, Wielkich Dębów, Igań i z jen. Chłopowskim na Litwie, Marcinkowski nareszcie tułający się po obcych krajach, i tam odbierający hołdy i medale (jako medal od tow. lekar. paryzkiego) z swej uczoności lekarskiej, gdy odsiedział karę więzienną w Berlinie i powrócił w r. 1837 do ojczyzny, do swego miasta rodzinnego, od którego był formalnie obóstwianym — widział jedyne zbawienie w rozprzestrzenianiu oświaty w narodzie, co pracą i zbieraniem odpowiednich funduszów da się uzyskać wedle słów Marcinkowskiego; to też Marcinkowski nie ustawał w pracy, aż dopiął swego celu, w czem mu dopomagali hr. Maciej Mielżyński, Gustaw Potworowski, Libelt, Mendych, Budrzyński kanonik Brzeziński i inni. Władze zezwoliły na założenie towarzystwa i rozpisane listy przyniosły oferty formujące znaczny kapitał, który w części jako żelazny fundusz pozostaje w ręku towarzystwa — a reszta funduszu obracana bywa na doroczne zasiłki uczącym się a to mianowicie, gdzie liczna rodzina a brak funduszów — począwszy od najniższych szkół aż do ukończenia nauk czy wydoskonalenia w rzemiośle; lub też na dorazowe datki gdzie tego okaże się potrzeba. Towarzystwo tym sposobem rozwinęło czynność na cały kraj — ma po wsiach i po miastach u ubogich i mniej uboższych, u rzemieślników i u wysoce wykształconych swych wychowańców istniejąc już lat 25. To też złóżmy wraz z Cegielskim cześć pamięci Karola Marcinkowskiego zmarłego 7 lut. 1846. Oby czyn jego znalazł u nas naśladowców!

— W Wiedniu wyszła świeżo broszurka niewielka (63 str.), którą bardzo polecamy czytelnikom zajmującym się społecznemi kwestjami. Jest to wykład Dr. K. Richtera „O rozwoju klasy roboczej“, miany w styczniu b. r. w niższo-austrjackiem przemysłowem stowarzyszeniu. W krótkich ale bardzo silnych rysach przechodzi autor historycznie cały rozwój społecznej kwestji, której ostatnim celem i zadaniem uznaje szczęście i zaspokojenie każdego indywiduum w społeczeństwie. Przyszedłszy w tym poglądzie do najnowszych czasów zastanawia się nad t. z. czwartym stanem i jego dążnościami — widzi dla niego przyszłość tylko w kierunku reprezentowanym przez Schulze'go, t. j. w wolnych stowarzyszeniach robotników, opartych na podstawie własnej pomocy i potępia system Lassala, która chce pomocy rządu. Ale kwestji społecznej nie ogranicza autor na robotników fabrycznych — widzi on proletarjat wiejski, który także kiedyś podnieść i ruszyć się musi. Więc stowarzyszenia wolne rozciągnąć i na ten wiejski proleterjat — więc na zasadzie samorządu gmin pracować nad moralnem i materjalnem podniesieniem wiejskiego ludu. Myśli rzucone przez autora w tym kierunku są dla nas tem ważniejsze, że u nas kwestji społecznej przedmiotem jest lud wiejski, który w dzisiejszym stanie pozostać nie może!

— W Tübingen wyszło nowe trzecie wydanie sławnej Polizei-Wissenschaft Roberta Mohla.

— W Lipsku wyszło (1865) dzieło Füesslin'a: „Zasadnicze warunki reformy więzień w myśl systemu odosobnienia.“ Autor jest zwolennikiem systemu celularnego, i zastanawia się nad tem, co poprzednio jeszcze zrobić należy, nim system ten będzie mógł być przeprowadzony. Przy tej sposobności zwracamy uwagę czytelnika na artykuł zawarty w pierwszym zeszycie „Przeglądu Powszechnego“ wychodzącego w Dreznie, w którym skreślony jest irlandzki system więzień; jeden z najlepszych systemów jakie dotąd powstały.

— W Wiedniu wyszły dwa bardzo zajmujące wykłady: „Der Alter der Menschheit“ Dr. O. Schmitta — i „Das Paradies“ znanego botanika Ungera. Oba wychodzą ze stanowiska teorji Darwina. Dr. Schmidt dowodzi, iż ród ludzki współczesny jest z mamutem, że już w czasach gdy żyły mamuty był pewien rodzaj cywilizacji; a nakoniec stara się wykazać prawdopodobieństwo teorji, że jak wszystkie rodzaje na ziemi rozwijały się jedne z drugich od mniej doskonalszych do doskonalszych, tak też i człowiek jest ostatnim ogniwem w tym łańcuchu, a przed nim idzie małpa. W drugiej rozprawie Dr. Ungera, trochę dziwacznie zatytułowanej „Raj“ przedstawia autor obraz Styrji w czasie okresu tercjarnego, czyli okresu węgla brunatnego.

— W Berlinie wyszło dzieło bardzo ważne nie tylko dla agronomów ale i dla ekonomistów p. t. „Erschöpfung und Ersatz beim Ackerbaue Dr. Wilhelm Schumacher. Berlin 1866.“ Kwestja wyczerpania gruntu i oddawania mu w nawozie tego, co mu się odjęło przez żniwo, jest sprawą najważniejszą może w rolnictwie, i jest oraz jedną z zasadniczych spraw gospodarstwa społecznego. Bo przypomniemy tylko twierdzenia Carey'a, który upadek całych narodów przypisuje wyczerpaniu gruntów — przypomniemy, iż wyczerpalność lub niespożytość sił w gruncie znajdujących się rozstrzyga sporną jeszcze między ekonomistami kwestję renty z gruntu. Autor nie bierze wcale tej sprawy ze stanowiska społecznego — on ją uważa głównie jako agronom, i używa całego zapasu wiedzy z dziedziny nauk przyrodniczych, a głównie chemji i fizjologji roślin, aby obliczyć ściśle o ile grunt się wyczerpuje, i czem to wyczerpanie zastąpić można.



Wydawca i odpow. redaktor **Bronisław Zamorski.** Główny współpracownik **Karol Widman.** Z drukarni E. Winiarza.